

ARTUR BARCIŚ

MARZANNA GRAFF

ROZMOWY BEZ RETUSZU

WYDAWNICTWO 
Kraków 2011

Wstęp
Rozdział 1 MAŁY AKTOR
Rozdział 2 OKAERY I KRAINA ŁĄGODNOŚCI
Rozdział 3 NIE BĘDĘ CUKIERNIKIEM
Rozdział 4 FILMÓWKA
Rozdział 5 TEATR NA TARGÓWKU
Rozdział 6 NARODOWY
Rozdział 7 POKOJÓWKA I PANI... ROMA
Rozdział 8 BEBA
Rozdział 9 ATENEUM I OSTATNI PROM LEJZORKA
Rozdział 10 ŻEBY SIĘ CZŁOWIEK ZASTANOWIŁ...
Rozdział 11 BRACISZEK NORKA
Rozdział 12 DORĘCZYCIEL NA RANCZU
Rozdział 13 DOWIEDZIEĆ SIĘ CZEGOŚ O SOBIE
Artur Barciś TRZECIA NUTA I CZĘŚĆ CAŁOŚCI

Wstęp

Powinam zacząć od opowieści, jak doszło do powstania tej książki, ale wolę przybliżyć Czytelnikom postać Artura i atmosferę, w jakiej odbywały się nasze spotkania.

Umówiliśmy się z Arturem w Teatrze Ateneum. Wbiegł (wydaje mi się, że on nigdy nie chodzi, lecz zawsze biega) do środka, wnosząc ze sobą mnóstwo energii, i od razu wygłosił stały dla siebie tekst: „Pójdziemy do bufetu, bo muszę coś zjeść”. Uśmiecham się, bo to cały Artur. Ciągłe w biegu, gdyż bez przerwy coś nowego wymyśla, więc gdy już wpada do teatru, to najlepiej od razu iść do bufetu, gdzie zresztą doskonale znają jego gust. Ja też skusiłam się na małe co nieco. Cały czas rozmawiamy. Z bufetu przenosimy się do sali prób i... dalej rozmawiamy, dopóki Artur nie musi iść do garderoby, aby przygotować się do spektaklu.

Innym razem spotykamy się w domu Artura w Choszczówce. Od furki słyszę ujadanie dzielnego jamnika. Gdy wchodzę, pies ucieka na schody prowadzące na piętro i z bezpiecznej odległości nadal szczeka, aby podkreślić, jak ważną funkcję pełni w tym domu. Kot nie ma zahamowań, podchodzi do Artura, do mnie i ociera się o nogi. Nie pozwala się jednak wziąć na rękę. Przychodzi, kiedy sam chce, i odchodzi, gdy uzna, że ma dość. Na tarasie żona Artura – Beba z uśmiechem pilnuje remontu ścieżki ogrodowej. Artur (oczywiście biegiem) robi nam espresso i stawia na stole wspaniałą babkę.

Przed nami leżą rozsypane zdjęcia. Przeglądam je, słucham opowieści, których dotyczą. Każda historia z fotografii mnie ciekawi. Trzeba przyznać, że Artur potrafi opowiadać. Nagle Artur się zrywa i w połowie zdania – mówiąc: „Przepraszam” – wybiega przed dom. Pogrążony w rozmowie jednocześnie kątem oka obserwował, co dzieje się na zewnątrz i gdy dostrzegł gest ze strony Beby, że jest potrzebny, natychmiast zareagował. Najbardziej jednak mnie zadziwia tym, że po powrocie kontynuuje zdanie, które przerwał, tak jakby nigdy nie wychodził. Zazdroszczę mu tej zdolności.

Lubię słuchać, jak Artur opowiada o innych artystach. O niektórych opowiada z takim zaangażowaniem i ogromną pokorą... Nie każdy potrafi się na to zdobyć.

Marzanna Graff

Rozdział 1

MAŁY AKTOR

– **Dlaczego tak mało tych zdjęć?**

– Mało jest tych z dzieciństwa, bo moja rodzina była bardzo biedna. Aparat fotograficzny w tamtych czasach to było, to było... jak teraz telewizor plazmowy. Chociaż teraz w każdym domu jest pewnie telewizor, no może nie w każdym plazmowy. I dlatego tych zdjęć jest po prostu mało, bo nie było czym ich robić. Jakiś czas później mój starszy brat dostał aparat Ami, chyba na komunię, ale klisza i wywołanie zdjęć kosztowało. Potem filmy, na których były te nieliczne, gdzie przy przeprowadzkach poginęły. Też się dziwię teraz, że jest ich tak mało.

– **A co to za zdjęcia są u twojej mamy?**

– Mama mieszka w Rędzinach i ja rzadko tam bywam, niestety. Za rzadko. Nie mam czasu... Na szczęście blisko jest Jacek, mój młodszy brat. Mama miała wycieczkę uczniów z jakiejś szkoły. Mieli zrobić wywiad z kimś sławnym pochodzącym z Częstochowy i wymyślili sobie, że napiszą o mnie. Ponieważ do mnie jest ciężko dotrzeć, umówili się z moją mamą na rozmowę. I mama właśnie powyciągała jakieś zdjęcia. Zdziwiłem się, bo myślałem, że ja już dawno wszystkie zdjęcia zabrałem do Warszawy. A mama, śmiejąc się, powiedziała: „A widzisz, coś tam zakamuflowałam”.

– **Widziałeś kiedyś te zdjęcia?**

– Nie wiem, chyba nie. A może widziałem, tylko nie pamiętam... Pewnie, jak je zobaczę, to sobie coś tam przypomnę.

– **Skoro nie ma zbyt wielu zdjęć, to powiedz, jakie masz skojarzenia z dzieciństwem.**

Co sfotografowała twoja pamięć?

– ...To trudne pytanie. Ja nie mam zbyt wielu dobrych wspomnień z dzieciństwa.

– **A jakie słowo przychodzi ci od razu na myśl, gdy mówimy o dzieciństwie? Pierwsze skojarzenie...**

– Strach.

– **Strach?**

– Tak. Strach przed pobiciem. Wiesz, ja byłem bardzo drobnym, trochę niedorozwiniętym fizycznie dzieckiem. Chorowitek taki. Dużo czasu spędzałem w szpitalach. A w szkole, no cóż, nie było tak jak w książkach, że słabszego się nie bije... Był taki jeden, Grzesiek, straszny głąb. Byli też tacy, którzy robili sobie taką zabawę, że wsadzali mnie na wysoką szafę i uciekali, a ja

czekałem, aż ktoś przyjdzie i mnie zdejmie, bo bałem się zeskoczyć, żeby sobie czegoś nie połamać. To był taki mój szkolny koszmar. No i o tatę się bałem. Był taki czas, że mój ojciec był bardzo chory. Właściwie umierający.

– **Na co chorował?**

– Na gruźlicę. Jakiś lekarz poradził mamie, żeby wysłała mnie i mojego młodszego brata do prewentorium kolejowego. Moi rodzice pracowali na kolei. Tata był magazynierem w Częstochowie, a mama pracowała w kasie biletowej w Mykanowie. To była sąsiednia wieś. Takie dwie wsie obok siebie: Mykanów i Kokawa. Przecięte torami kolejowymi. Myśmy z braćmi wychowali się przy torach. Tata był bardzo chory. Mama bała się, że sobie nie poradzi, i skorzystała z okazji, że można było wysłać do prewentorium nawet dzieci zdrowe, chociaż ja akurat ciągle byłem chory. Mój młodszy o dwa lata brat, jako przedszkolak, pojechał ze mną. Ja wtedy chodziłem chyba do drugiej klasy podstawówki.

– **Pojechaliście?**

– Tak, na trzy miesiące. To był koszmar. Zupełny koszmar. Byliśmy z bratem rozłączeni. Znaleźliśmy się w oddzielnych grupach. On był jako malutkie dziecko, a ja już jako podstawówka. Praktycznie prawie wcale się nie widywaliśmy. Do tego... to było bardzo daleko. W Karkonoszach – Janowice Wielkie koło Jeleniej Góry. Dużo chorych dzieci tam było...

– **Tęskniliście?**

– Potwornie tęskniliśmy! Ja po prostu liczyłem każdy dzień do dnia, kiedy mama przyjedzie i nas stamtąd zabierze. Pamiętam, że zrobiłem sobie w zeszytach taki kalendarz i zawsze przed snem wykreślałem jeden dzień. Pamiętam to jak dzisiaj, kiedy wreszcie doczekaliśmy się końca turnusu. Ostatni tydzień to z Jackiem liczyliśmy każdą godzinę, kiedy mama przyjedzie i nas stamtąd zabierze. Po czym mama przyjechała i przedłużyła nam pobyt o kolejne trzy miesiące. Tata był cały czas w szpitalu i to w takim stanie... Lekarze stwierdzili, że gdyby tata umarł, to najlepiej, gdybyśmy przyjechali już po fakcie.

– **Tak było lepiej?**

– Wiesz, myśmy tego wszystkiego nie wiedzieli. Dla nas ważne było tylko to, że musimy zostać w tym więzieniu jeszcze drugie tyle. Pamiętam, jak trzymałem się kraty w oknie i darłem się potwornie, widząc mamę, która płacząc, wychodzi przez główną bramę.

– **Zostaliście na kolejne trzy miesiące?**

– Tak. Oczywiście, jak to w życiu, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Pewnie trochę jak do pobytu w domu dziecka, tak mi się wydaje...

– **Było łatwiej?**

– Tak, potem było trochę lepiej. Tam była szkoła, zabiegi lecznicze... Jacek tego na szczęście tak dobrze nie pamięta, bo był mały. Ja doskonale wszystko pamiętam. Dopiero po pół roku mama nas stamtąd zabrała. Na szczęście okazało się, że już nie można było przedłużyć naszego pobytu. Przepisy tego zabraniały. Zresztą nie było powodu, bo tata był już w domu.

– **To tata żył, gdy wróciliście?**

– Tak. I przeżył! Wyszedł z tej gruźlicy. Pamiętam taki moment, gdy poszliśmy do szpitala się z nim pożegnać. To było przed wyjazdem do tego prewentorium. Tata był pomalowany cały na fioletowo. Wyglądał koszmarnie. Mama nas zawiozła, żebyśmy się z nim pożegnali. Potem wróciliśmy do domu. Klęczeliśmy przed wielkim, świętym obrazem i modliliśmy się, żeby tata przeżył. No i przeżył!

– **Niesamowite...**

– Tak.

– **Powiedz, jakie jeszcze słowo poza strachem kojarzy ci się z dzieciństwem?**

– ...Występy.

– **Ooooo!**

– Tak, to były chwile prawdziwego szczęścia. Pierwsze to było czytanie. Ja nauczyłem się czytać, gdy miałem pięć lat. Jak poszedłem do szkoły, już umiałem płynnie czytać. Dużo czasu spędzałem u babci Anieli, mamy mojej mamy. Bardzo mnie kochała. To ona nauczyła mnie czytać. Do zerówki chodziłem w Rędzinach, gdzie mieszkała babcia. W tej zerówce zacząłem czytać, że się tak wyrażę, publicznie.

– **Publicznie?**

– No, tak trochę (*śmiech*). Pamiętam, jak w zerówce pani sadzała mnie na takim małym krzeselczku, dzieci zbierały się wokół mnie, a ja tym dzieciom czytałem bajki. To były chyba moje pierwsze, nieświadome próby aktorstwa, bo starałem się zmieniać głos, interpretować tekst. Dzieci mnie słuchały w takiej cudownej ciszy, a ja czułem się wtedy tak strasznie dla nich ważny. Uwielbiałem to robić. Pani też była przeszczęśliwa, bo miała chwilę oddechu, mogła wyjść na papierosa czy coś.

– **Mały aktor?**

– Wtedy pewnie sobie tego nie uświadamiałem, ale czułem, że... miałem coś, co sprawiało, że łatwo mi było być kimś innym. Czytałem i od razu tak mi to jakoś wychodziło... prawdziwie. Potem, już na studiach, zrozumiałem, że aktorstwo to nie jest coś, czego można się ot, tak nauczyć. To jest dar, z którym się człowiek rodzi. Można to oczywiście spaskudzić, zmarnować, rozmięknąć na drobne albo szlifować. Jednak, żeby coś z tym zrobić, trzeba najpierw to mieć, czuć w sobie.

– **Ty właśnie to czuleś, czytając?**

– Pamiętam takie kioski z kratą z drutu. Potrafiłem się tak złapać tej kraty, tak ją mocno trzymać, dopóki babcia mi nie kupiła książeczki. To były takie małe książeczki z serii „Poczytaj mi mamo”. Gdy była w kiosku nowa książeczka, to darłem się i musiałem dostać tę książeczkę. Chociaż nam się nie przelewało. A potem już czytałem te książki, które były w domu, czyli dla młodzieży albo dla dorosłych. U nas w domu dużo było książek. Pamiętam serię przygód Tomka Alfreda Szklarskiego. Kończyłem i zaczynałem od początku.

– **Mówisz, że lubiłeś czytać innym dzieciom. To była w pewnym sensie twoja widownia. A pamiętasz swój pierwszy występ?**

– Pamiętam jeden. To dziwne, bo przecież dużo rzeczy się zacierają, a to pamiętam. Pamiętam, było wesele. Byłem mały. I pamiętam, że miałem takie fantastyczne lakierki. Taki byłem dumny z tych lakierków. Czarne lakierki! Mama mi je kupiła na komunię na targu w Częstochowie. Później bardzo szybko się rozleciały, bo to były takie „na ślinę klejone”, ale gdy były nowe, to były śliczne. Więc było wesele u moich sąsiadów w Mykanowie. Tańczyłem. Uwielbiałem to robić. Byłem małym chłopcem i jak zaczynałem tańczyć, to robiłem wszystko, piruety, nie piruety. Pamiętam to jak dziś: wszyscy się rozstąpili, ja byłem sam na środku tej tanecznej sali. Ludzie bili brawo. Ja robiłem te piruety, miałem łzy w oczach i byłem najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

– **Bo właśnie robiłeś to, co kochasz?**

– Tak myślałem. Pokazuję coś, co umiem. Ludzie się zachwycają. Mam widownię i nie jestem najmniejszy i nie jestem najbrzydszy i nikt mnie nie uderzy. Pamiętam ten moment. Już innych takich nie pamiętam tak wyraźnie. Ciągle się gdzieś wyglupiałem. Lubiłem i chciałem występować.



...od dziecka lubiłem tańczyć fot. archiwum Autora

– **A co potem?**

– Oczywiście akademie! Na każdej akademii mówiłem jakiś wiersz. Gdy chodziłem do szkoły w podstawówce w Rędzinach, chyba w czwartej klasie, zapisałem się do chóru. Ponieważ umiałem śpiewać, pan od muzyki, pan Kopytko, rozpoznał to od razu i powiedział: „Artur, będziesz w chórze”. Później w tym chórze zostałem solistą i już sam śpiewałem. Pamiętam swoje *Cała sala śpiewa z nami* i inne piosenki... I od tego momentu chyba zaczął się taki w pełni świadomy wybór, że chcę być aktorem.

– **Od śpiewu?**

– Nie tylko. Ta szkoła w Rędzinach to była taka wzorcowa szkoła tysiąclecia. Była bardzo, ale to bardzo solidna. Mieliśmy boisko piłkarskie, ogromną salę gimnastyczną. Część tej sali gimnastycznej to była scena. Prawdziwa scena. Z kulisami, kurtyną...



Zabawa choinkowa. Pierwszy z lewej

fot. archiwum Autora

– **To wyjątkowa sprawa...**

– Tak, to się bardzo rzadko zdarzało. Nie była duża ta scena, ale jednak scena. I dość wysoka. Nie był to tylko podest, ale właśnie scena, na którą wchodziło się po schodkach. Pamiętam, że w szkole właśnie ta scena to było najbezpieczniejsze dla mnie miejsce. Wchodziłem na scenę i wiedziałem, że tam mi nikt nic nie zrobi. I mało tego, tam byłem największy. Wiesz, ja byłem najmniejszy w całej szkole! Nie w klasie, ale w całej szkole. Mój tata też był drobny. To widocznie było w genach.

– **Pamiętasz jakiś swój pierwszy wiersz?**

– Nie. Pamiętam za to swój występ w jasełkach w kościele. To był pierwszy sceniczny

występ. Grałem pastuszka. Ja byłem wtedy bardzo religijny i kościół był dla mnie wspaniałym teatrem. To było miejsce, w którym jest pewna ceremonia, są światła, są piękne, złożone kostiumy. Każdy słucha z uwagą. Ksiądz to jakby aktor.

– **Dobrze kombinowałeś...**

– Tak. Ksiądz to taki aktor występujący na swojej scenie – ambonie. Teraz księża nie mówią z ambon, ale wtedy ten ksiądz na ambonie był dla mnie jak Bóg. I to właśnie był taki piękny teatr. Mój tata był bardzo, bardzo religijny i ja wtedy też byłem taki religijny przy nim.



I klasa, 1963 r. – ten w środku to ja. Przyszły aktor, cha, cha fot. archiwum Autora

– **Wszędzie teatr...**

– Był jeszcze prawdziwy, w Częstochowie. Nie pamiętam dokładnie, kiedy pierwszy raz w nim byłem, może to było nawet w zerówce. Pamiętam jednak, że była to bajka o zajączku. Gdy wszedłem na widownię, to po prostu dech mi zapało. Teatr w Częstochowie jest bardzo ładny, ma piękną scenę, dużą przestrzeń...

– **Jak się wtedy czuleś?**

– Gdy światła zgasty, zaczęła się magia. Kurtyna rozsunała się i... te kolorowe dekoracje, zajączki... Boże, jakie to było piękne! To było cudowne, fajniejsze nawet niż kościół. Wtedy wiedziałem, że to jest coś, w czym chcę uczestniczyć, w tym być. Chociaż nie przypuszczałem... miałem okropne kompleksy i nie wierzyłem w siebie. Nie wierzyłem, że mi się to uda, ale wiedziałem, że bardzo, bardzo tego chcę i zrobię wszystko, żeby to osiągnąć.



Pierwsza Komunia fot. archiwum Autora

– **A co na to rodzice?**

– Ja im nie mówiłem, że chcę zostać aktorem, chociaż wiem, że moje występy bardzo im się podobały. Gdy sąsiedzi i wszyscy we wsi mnie oklaskiwali, to rodzicom bardzo się to podobało. Cieszyli się, że dobrze śpiewam i te wiersze ładnie recytuję. Gdybym się lepiej jeszcze uczył, to pewnie byliby jeszcze bardziej zadowoleni, ale ja zawsze miałem kłopoty z przedmiotami ścisłymi. To było bardziej widoczne w liceum, ale w podstawówce się zaczęło. Z humanistycznymi nigdy nie miałem problemu, chociaż chyba byłem dyslektykiem. Miałem kłopoty z ortografią, na przykład nigdy nie byłem pewny, jak się pisze „obuwie”. Zawsze pisałem przez „ó”, bo mi się wydawało, że przecież jest „-ów”, no to logiczniej jest pisać „obówie”, nie? Wtedy jednak o dysleksji nikt nie słyszał, a takich jak ja nazywało się głabami, bo nie potrafią się nauczyć. W końcu się nauczyłem.

– **A jak wyglądał twój pokój?**

– Chyba żartujesz... Jaki pokój? Ja nie miałem swojego pokoju.

– **Pokój twój i braci?**

– Nie mieliśmy swojego oddzielnego pokoju. W Kokawie były dwa pomieszczenia: kuchnia i sypialnia. W sypialni wszyscy spaliśmy, a w kuchni się odrabiało lekcje. Koniec. Potem w Rędzinach było trochę lepiej.

– **Miałeś swoje miejsce?**

– Miałem swoje biurko, które wywalczyłem. To nawet nie było biurko, tylko stół z szufladą, ale wywalczyłem, że to jest moje miejsce na świecie i nikt mi tam nie ma prawa zaglądać, nikt mi tam nie ma prawa kłaść czegokolwiek, bo to jest moje. Ja lubiłem się uczyć. Wywalczyłem więc sobie to miejsce do nauki. Oczywiście to nie było takie proste. Moja

autonomia była ciągle łamana. Ciągłe ktoś mi stawiał lub przestawiał coś na tym „biurku”, ale i tak byłem szczęśliwy, że mam kawałek swojego świata.

– **Zastanawiałam się, czy jako dziecko rozrabiałeś, wariowałeś z kolegami. Gdzieś ta twoja energia musiała się spalać...**

– Oooo! I to jak! To będzie trochę nie po kolei, ale nie musi, prawda?

– **Ależ skąd!**

– Gdy w połowie podstawówki przeprowadziliśmy się do Rędzin, do babci, to razem z braćmi i kolegami z sąsiednich domów założyliśmy tzw. bandę. Naszym obozem była komórka za stodołą, którą nazwaliśmy bazą. W podłodze był wykopany dół, a w nim trzymaliśmy skrzynię ze skarbami. Mieliśmy swoje peleryny, które ja uszyłem. Był maszt sterczący wysoko nad komórką, a na nim powiewała nasza piracka flaga. Najczęściej graliśmy razem w nogę albo bawiliśmy się w podchody. Po jakimś czasie powstała konkurencyjna banda i tamci ukradli nam naszą flagę. Postanowiliśmy ją odzyskać i w rewanżu zabrać im ich flagę z białym orłem na czerwonym tle. Niestety, to nie było łatwe. Nasza flaga wisiała zawsze na dyszlu od wozu na szczycie komórki, a ich umocowana była na szczycie najwyższej lipy w okolicy. To było naprawdę ogromne drzewo. Dodatkowym utrudnieniem był fakt, że lipa rosła na podwórku jednego z członków przeciwnej bandy, a na dodatek przez całą dobę kręciły się wokół tego drzewa psy, których myśmy się strasznie bali.

– **Ale udało się?**

– To było czyste szaleństwo. Razem z szefem naszej bandy Wieśkiem Krzyszczykiem zakradliśmy się po tę flagę którejs nocy. Ciemno było... No, nic nie widzieliśmy.

– **A jeszcze psy...**

– Najpierw przekupiliśmy psy kielbasą, a potem w tej ciemności, kompletnej ciemności, wdrapaliśmy się na sam szczyt tej ogromnej lipy. Do dziś nie wiem, jak nam się udało zejść w jednym kawałku i w dodatku z tą flagą. Później były długie negocjacje, na jakich warunkach i kiedy nastąpi przekazywanie flag. Myśmy chyba wynegocjowali, że razem z flagą mają nam przekazać wystrugany przez nich drewniany sztylet.

– **A pamiętasz zapachy lub smaki z dzieciństwa?**

– Dużo jest takich potraw, które robiła babcia lub mama. Lubię zapach rosółu. Cudowny! Uwielbiam rosół do tej pory. Zawsze kojarzy mi się z czymś odświętnym, najlepszym. W teatrze mówią na mnie „rosolnik”, bo po wejściu do bufetu pytam: „Jest rosół?”. Nie ma dla mnie lepiej pachnącej potrawy, bardziej domowo i odświętnie zarazem. Są też granaty. To taka potrawa podobna do dużej pyzy nadziewanej specjalnym farszem, w którym są między innymi kielbasa, boczek, cebulka. To było tak przysmażane i potem nadziewane... Babcia i mama robiły je najlepsze.

– **A były smaki niefajne?**

– Pewnie, że były. Musiałem codziennie pić sok z czerwonych buraków. Babcia Aniela miała takie swoje metody na moje zdrowie. Skoro wyglądałem, jak wyglądałem, to znaczy błado i anemicznie, to babcia wyczytała gdzieś, że sok z buraków wzbogaca krew. I tak babcia tarła te buraki na tarce, odciskała ten sok i ja go musiałem pić. To było coś tak obrzydliwego, coś tak niedobrego, że... Ale byłem posłusznym dzieckiem, więc piłem... Nienawidziłem też mleka prosto od krowy, a musiałem takie pić, że niby zdrowe. Jak babcia wydoiła krowę, to ledwo odcedziła, z takim barankiem, taką pianką od razu kazała mi to pić, a to jeszcze tą żywą krową pachniało. Brrrr.

– **Uraz do krów?**

– O właśnie, najstraszniejsza męka to te krowy. Jako dziecko musiałem pasać krowy. Trzeba było iść z tymi krowami na miedzę i one tam się pasły. Ciągłe dostawałem lanie, bo

krowy szły w kartofle sąsiada albo w inną szkodę, bo ja oczywiście do pasania krów brałem książkę. I jak wchodziłem w ten magiczny świat, to krowy szły, gdzie chciały. A ja czytałem i nie widziałem w ogóle, co się dzieje, mnie tam nie było. Zamiast pilnować krów, przechodziłem w inny wymiar. Do dziś tak mam, gdy się zaczytam. Żona mówi, że się „zawieszam”. Jak komputer. Ma rację.

– **Krowy szły w szkodę, więc rodzice nie byli zachwyceni...**

– Wiesz, szkody z tego mojego pasania były większe niż korzyści. No i w końcu przestałem pasać te krowy. Boże, jaki byłem szczęśliwy!

– **Może dlatego tego mleka świeżego tak nie lubiłeś. A dziś ktoś przypomina ci te dobre smaki?**

– Moja mama. Gdy przyjeżdżam, przygotowuje dla mnie rosół i granaty. Zawsze!
Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 2

OKAERY I KRAINA ŁAGODNOŚCI

– **Opowiadaj, co było dalej, po podstawówce. Jak było w liceum?**

– Fajnie... Najpierw zdawałem do liceum plastycznego w Częstochowie. Jakoś tak mnie tam ciągnęło...

– **Dlaczego?**

– Bardzo lubiłem malować, w ogóle malowanie sprawiało mi przyjemność i tak mi zresztą zostało do dzisiaj. A wtedy to jeszcze chciałem... tak niebanalnie. To liceum plastyczne miało bardzo dobrą renomę. Zdawałem... ale się nie dostałem. Egzamin były wcześniej, bo to szkoła artystyczna. Nie dostałem się, bo... nie zaliczyłem matematyki.

– **A z rysunku?**

– Z rysunku miałem chyba czwórkę. Malowałem raczej nieźle. Ale trzeba było zdać też przedmioty podstawowe. Z polskiego poszło mi dobrze, ale matematyki nie zdałem. Dostałem dwójkę.

– **I co dalej?**

– Wtedy postanowiłem, że będę zdawał do takiego liceum, które jest najbliżej mnie, żebym nie musiał jeździć do Częstochowy. To było liceum w Rudnikach, w sąsiedniej miejscowości. Tam jest gigantyczna cementownia, przy niej zbudowano osiedle i między innymi właśnie to liceum. To było... no, nie miała ta szkoła wtedy jakiejś wyjątkowej renomy. Ale i tam egzamin trzeba było zdać. Zdałem bez większych problemów.

– **Tam pewnie się coś zaczęło, bo określiłeś licealne czasy jako „fajne”.**

– Tam na dobrą sprawę zacząłem serio myśleć o aktorstwie. Miałem fantastyczną nauczycielkę języka polskiego – panią Elżbietę Sosnowską. To był przełom jakiś. Ona stworzyła mi świat, którego nie znałem. Świat poezji, świat Ewy Demarczyk i Zygmunta Koniecznego. Nie miałem gramofonu w domu i uwielbiałem jeździć do pani Eli do Częstochowy. Rozmawialiśmy o poezji i o różnych rzeczach... Słuchaliśmy właśnie płyt Ewy Demarczyk czy Marka Grechuty. To była ta, jak się to teraz mówi, „kraina łagodności”. Ja to ubóstwiałem po prostu. Nie pasanie

krów, nie kopanie kartofli w polu, nie bicie się z chłopakami, nie jakieś tam... no, tradycyjne zajęcia młodego chłopaka w moim wieku, tylko właśnie TEN świat mnie zauroczył.

– **Jaka poezja?**

– Różna, bardzo różna, również współczesna.

– **Mam nadzieję, że z tej pasji wyniknęło coś konkretnego?**

– Pani Ela namówiła mnie, żebym wystartował w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim, czyli tzw. okaerze. To było w drugiej klasie liceum. Pamiętam, przygotowałem *Fortepian Chopina* Norwida. I tak z etapu na etap, a tych etapów było sporo... Częstochowa należała do województwa śląskiego, podobnie jak i teraz... No, musiałem wszystkie te etapy przejść. Za pierwszym razem doszedłem do finału wojewódzkiego. Zająłem tam chyba drugie miejsce. To było w Katowicach. Drugie miejsce oznaczało, że nie pojechałem na konkurs centralny, bo zdaje się, że tylko zdobywca pierwszego miejsca jechał. Ale już wiedziałem, że to jest coś dla mnie. Skoro tak daleko zaszedłem, to jest to właściwa droga.

– **W szkole i tak pewnie byli zachwyceni.**

– No, byłem traktowany jak ktoś, kto szkole przynosi chlubę... Liceum z prowincjonalnych Rudnik zaczęło nagle w powiecie częstochowskim coś znaczyć.



Pierwsze zdjęcie w gazecie – „Gazeta Częstochowska”, 1974 r., wywiad *Najlepszy* fot. archiwum Autora

– **Domyślam się, że był ciąg dalszy?**

– No, tak. To drugie miejsce tylko mnie zachęciło. Pojechałem na Festiwal Poezji Współczesnej im. Juliana Przybosa do Rzeszowa. Tam znowu zająłem drugie miejsce i zdobyłem „Srebrny Lemiesz”. Dla mnie to był gigantyczny sukces. No, a potem, właściwie równoległe chyba, to już był rok 1973/1974, startowałem ponownie w OKR. Byłem już w trzeciej klasie. Mówiłem *Niejasny wiersz* Różewicza. I tam, przechodząc znów wszystkie poszczególne eliminacje, wygrałem już na Śląsku i pojechałem na konkurs centralny do Lublina. Po raz pierwszy zniesiono wtedy kategorie w finale. Zniknął podział na kategorię szkolną i kategorię ogólną i wszyscy mieli równe szanse. Szesnaście osób było chyba, jeśli dobrze pamiętam. Do finału weszło osiem osób.



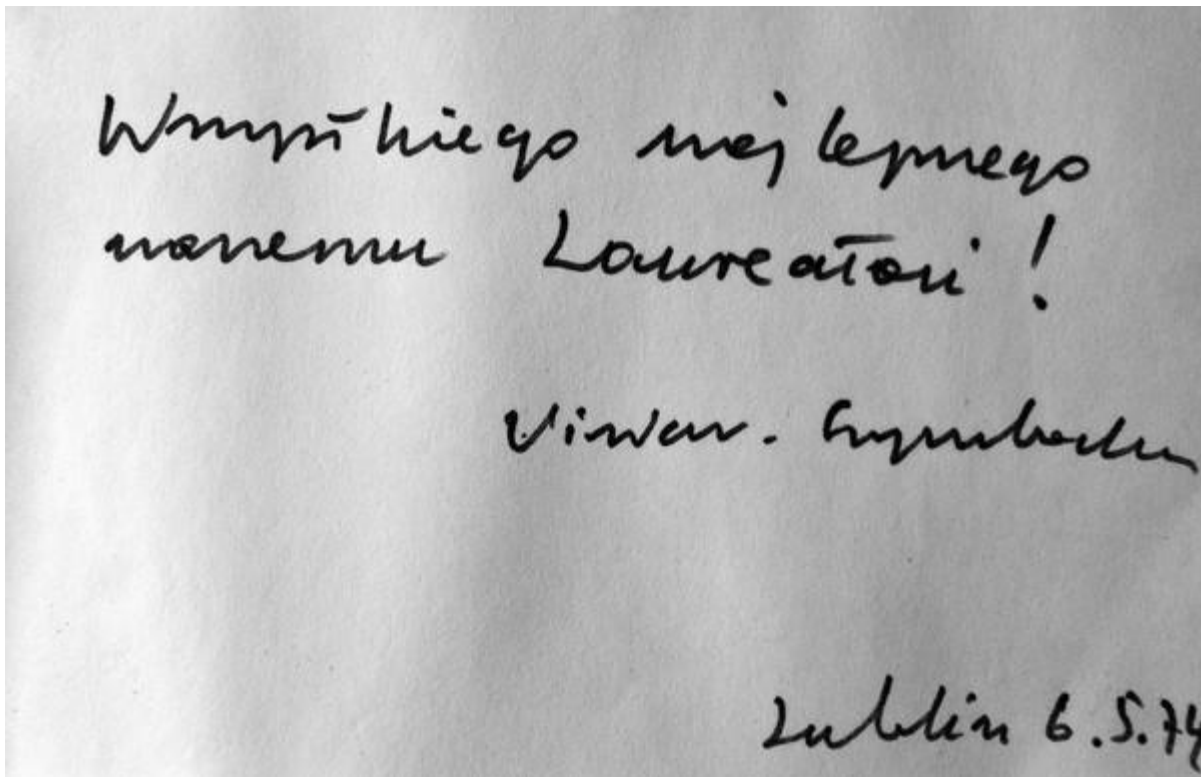
Okładka pamiętnika fot. archiwum Autora

– **Ciężko było?**

– Robiłem to, co lubię, więc mnie to sprawiało olbrzymią frajdę. W jury była Wisława Szymborska, Irena Jun... Mam wpis od nich w pamiętniku, bo kupiłem sobie pamiętnik w tym Lublinie i poprosiłem, aby mi się wpisały. Mam od Wisławy Szymborskiej autograf z dedykacją...

Zdobyłem pierwsze miejsce – Główną Nagrodę Jury. Zostałem Recytatorem Roku. Dostałem również nagrodę wojewody za najlepszą interpretację poezji i coś, co było szczególnie

cudowne: Nagrodę Publiczności. Chyba dostałem też nagrodę dziennikarzy, ale nie jestem pewien... Musisz sprawdzić, bo potem okaże się, że ktoś inny ją dostał i będzie głupio. Ja już naprawdę nie pamiętam.



Dedykacja od Wisławy Szymborskiej – OKR Lublin 1974 fot. archiwum Autora

– **Nagroda Publiczności szczególnie cieszy...**

– Do tej pory ją mam, tylko ręka się odłamała... To była rzeźba z drewna. Klaszczący chyba święty Franciszek. To zabawne, bo ten święty był rzeźbiony z rękoma złożonymi do modlitwy, a w ostatniej chwili zmieniono je tak, żeby wyglądało, że klaszcze. Tak pod skosem do siebie są te ręce. Dosyć spora rzeźba.

– **To był twój wielki sukces. Wyobrażam sobie, jak musiałeś się cieszyć. Wiedziałeś, że idziesz drogą, którą sobie wybrałeś?**

– Czułem się, jakbym złapał Pana Boga za nogi. A jeszcze słyszałem taką plotkę, że jeśli wygra się Ogólnopolski Konkurs Recytatorski, to dostaje się bez egzaminów na studia aktorskie. To oczywiście nie było prawdą, wręcz przeciwnie, potem się okazało, że lepiej się nie przyznawać, bo recytatorska maniera i takie tam. Wróciłem do szkoły i... byłem noszony na rękach.

– **Szkoła przygotowała gablotkę z twoimi dyplomami...**

– Była gablotka, nawet były tam jakieś wycinki z wywiadami ze mną. Ooo, bo był jeszcze mój pierwszy w życiu wywiad – dla „Gazety Częstochowskiej”! I w telewizji wystąpiłem. Pojechałem do Warszawy i wystąpiłem w programie *Siódemka*. Recytowałem tam fragment tego wiersza Różewicza. Program prowadziła Elżbieta Jaworowicz.

– **Ale szkoła to nie tylko sukcesy w konkursach recytatorskich...**

– To była trzecia klasa liceum. Od tej pory właściwie wszystko szło mi bardzo lekko.

Nauczyciele matematyki patrzyli przez palce, bo było jasne, że... ja właściwie zrezygnowałem z tej matematyki, bo od pewnego momentu przestałem ją kompletnie rozumieć i się poddałem. Dawałem sobie radę dzięki kolegom... No, ale potem musiałem zdać maturę.

– **Z matematyki?**

– Egzamin z matematyki był wtedy obowiązkowy. Ale znowu koledzy mi pomogli. Miałem sporo szczęścia, bo oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, jak rozwiązać te zadania. Nie rozumiałem nic absolutnie. Ale i nauczyciele, i koledzy wiedzieli, że trzeba mi pomóc. Nauczycielka matematyki, która jednocześnie uczyła nas języka esperanto...

– **Uczyłeś się esperanto w szkole?**

– Nieobowiązkowo, ale tak, uczyłem się esperanto. Zapisalem się, bo chciałem mieć chody u pani od matematyki. Pani Zofia Kosela, cudowna kobieta, wiedziała, że nie ma najmniejszego sensu, żeby podejmować wobec mnie choćby próby... Ja już miałem takie opóźnienia, że nie było co zbierać. Wiedziała, że trzeba będzie mi pomóc, no i pomogła. Zresztą koledzy też. Dostałem na przykład taką ściągę...

– **Koledzy w liceum ci pomagali? Zupelnie inaczej niż w podstawówce.**

– Tak, w liceum czułem się lubiany. Nikt mnie nie popychał, nie bił. Zresztą ja też nabrałem trochę pewności siebie. Miałem poczucie humoru, umiałem opowiadać dowcipy, lubiłem być duszą towarzystwa, więc byłem zapraszany na różne prywatki, spotkania.

– **To przyniosło wymierny skutek właśnie przy maturze...**

– Chyba tak. Dostałem ściągę z tej matematyki z rozwiązaniem najtrudniejszego zadania. To zadanie było bardzo trudne i jak się je rozwiązało, to już była trójka. No, ale ponieważ było duże, to dostałem je w dwóch częściach, na dwóch karteczkach. Podrzuciła mi je moja przyjaciółka Halinka. Ale ja w ogóle nie wiedziałem, co tam jest napisane i miałem pięćdziesiąt procent szans, że dobrze trafię. Niestety, nie udało się i najpierw przepisałem drugą część, a potem pierwszą. I nie zaliczyli mi tego zadania, bo wynik wyszedł mi w środku. Na szczęście inne zadania przepisałem dobrze i dostałem trzy plus ku mojej wielkiej radości, no i... ku wielkiej radości pani Zofii.

– **Bo cię polubiła...**

– Pewnie też, ale przede wszystkim strasznie się bała, że jeśli ja nie zdam tej pisemnej matury, to będę musiał zdawać ustną. A jeżeli będę zdawał ustną, to w obecności kogoś z kuratorium. I wtedy cała prawda wyjdzie na jaw, a panią Zofię zapytają, jakim cudem ten młody człowiek doszedł do czwartej klasy, skoro jest na poziomie szkoły podstawowej. Dla mnie już równanie z jedną niewiadomą było problemem, a tam przecież jakieś całki, różniczki jakieś...

– **A z polskiego oczywiście piątka.**

– Z polskiego miałem niewiarygodne szczęście. Bo założyłem teatr poezji i z tym teatrem jeździliśmy na różne festiwale. On był taki bardzo awangardowy. Pamiętam, paliliśmy książkę na scenie...

– **A kto pisał scenariusze?**

– Ja. Pisałem, reżyserowałem i grałem. I muzyką się zajmowałem – wszystkim. Po prostu zbierałem różne teksty poetyckie, które miały wyrażać nasz bunt, taki młodzieńczy protest, że nie zgadzamy się na coś i tak dalej. Zbierałem wiersze najbardziej współczesnych wtedy poetów – takich, których nie było oczywiście w podręczniku: Urszuli Kozioł, Małgorzaty Hillar, Anny Świrszczyńskiej, Zbigniewa Herberta...

– **Ale zaraz, zaraz, miało być o maturze z polskiego...**

– No właśnie! Gdy zobaczyłem zadania z pisemnej matury z polskiego, to myślałem po prostu, że oszaleję. Nie wierzyłem własnym oczom, bo ostatni temat, który był tematem dowolnym, brzmiał, dokładnie to pamiętam: „Moja antologia poezji współczesnej. Propozycje

i uzasadnienia”.

– **Teraz rozumiem!**

– Większość wierszy tych współczesnych poetów umiałem na pamięć! W antologii, która była podręcznikiem pomocniczym do czwartej klasy, ich nie było albo były, no... śladowo. A ja mogłem zaproponować całą paletę wierszy naprawdę współczesnych i umieścić je w tej mojej antologii. Był tam też i Broniewski, i Przyboś, ale z innymi wierszami. Wiesz, znałem się na tym, interesowało mnie to, to była moja pasja. Miałem naprawdę wielkie szczęście i bez problemu zdałem maturę.

– **Zaintrygował mnie ten teatr, który założyłeś. Coś cię zainspirowało?**

– Na początku liceum pojechaliśmy na wycieczkę klasową do Warszawy.

Obowiązkowym punktem programu była wizyta w teatrze. To był Teatr Narodowy i *Rewizor* Gogola. Główną rolę grał aktor, którego w ogóle nie znałem, nie był wtedy popularny. Przedstawienie było fenomenalne! Czegoś takiego nie widziałem nigdy w życiu. Wariactwo, totalne wariactwo. To, co ten aktor wyprawiał na scenie... tego nikt nigdy nie robił. Nikt tak nie grał. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak grał. Z takim zaangażowaniem, takim szaleństwem... To był Wojciech Pszoniak. Tak się zachwyciłem tą jego grą, że pomyślałem: „Ja chcę tak grać. Takim aktorem chcę być”. Nie żeby go powielać, naśladować, tylko żeby tak angażować widza, być tak prawdziwym.

– **No, a co z tym teatrem poezji?**

– To, niestety, nie trwało długo. Była grupa zapaleńców, głównie dziewczyny, i ja.

Wszyscy mi bardzo ufali, ale myślę, że tak do końca nie rozumieli tego wszystkiego, co ja tam chciałem... Powiem szczerze, że sam do końca też tego nie rozumiałem. W Rzeszowie na tym Festiwalu Poezji Współczesnej widziałem monodram Bogusława Kierca, aktora, o którym nigdy nie słyszałem. To, co on robił w tym monodramie... To był monodram poetycki. To był szok. Nie wiedziałem, że można coś takiego... Z kawałka jednej płachty robił chorągiew, prześcieradło, wiatr, łóżko, płaszcz... Wszystko za pomocą jednego rekwizytu, który był jednocześnie kostiumem. To było niesamowite. Jednoosobowy teatr poezji. Wszedłem w ten świat i zachwyciłem się nim, chociaż pewnie nie wszystko do końca rozumiałem. Czuję instynktownie, że to... ten mój teatr, że to powinno być takie, ale nie rozumiałem dlaczego. To było... tam, gdzieś w mojej głowie. Nikt nie wiedział do końca, co siedzi w tej mojej głowie... ja też.

– **Wspomniałeś o tym, że byłeś lubiany w liceum, że byłeś zapraszany na prywatki.**

Pewnie twoje zamilowanie do tańca też pomogło...

– Tak, tak. Tak było: prywatki, dyskoteki... Lubiłem tańczyć. Z dziewczynami jednak ciągle miałem problemy. Nosilem długie włosy i wyglądałem pewnie trochę niemęsko, ale taka była moda. Tylko że dziewczyny też nie traktowały mnie serio. Cały czas byłem chłopcem, takim naprawdę chłopcem, a nie mężczyzną. Można się było ze mną spotkać i spędzić miło czas, ale przecież nie umówić się na randkę. Boże, jak ja zazdrościłem moim kumplom, którzy byli już tacy dorośli, mężczy. Też taki chciałem być... ale musiałem poczekać.

– **Ale były pierwsze miłości?**

– Oczywiście, że były. Ciągle się zakochywałem w jakiejś dziewczynie. Później się okazywało, że ona na mnie nie zwraca uwagi albo że mnie traktuje wręcz... no... jak kolegę. Ja do niej: „Umówimy się?” A ona: „No, Artur nie wygłupiaj się”... Aaaa! Jeszcze w liceum spotkało mnie coś naprawdę niezwykłego!

– **Co takiego?**

– Do tej pory tego nie rozumiem. Ja nie wierzę we wszystko, jestem bardzo pragmatycznym człowiekiem. Nie wierzę w żadne przepowiednie, liczby i inne takie rzeczy. To

było chyba w drugiej klasie liceum... W Częstochowie był kręcony *Potop* Jerzego Hoffmana i w naszym liceum zorganizowano spotkanie z Danielem Olbrychskim. Między zdjęciami miał wolne. Byliśmy zachwyceni, Olbrychski był wtedy bogiem przecież. To było bardzo fajne spotkanie. Pamiętam... Aha, on przyjechał z jednym... chyba asystentem operatora. Z kimś takim, kto siedział na widowni. To ważne. I ja zadałem Olbrychskiemu pytanie. Nawet pamiętam dokładnie to pytanie. On opowiadał o tym, że tak naprawdę w filmie to ważny jest montaż i nie dzieje się naprawdę. To, że my potem tak przeżywamy, to sztuka montażu, tak skonstruowanych ujęć, i to się dlatego tak przeżywa... I ja wtedy podniosłem rękę i zapytałem: „Ale jak pan potem w kinie patrzył, jak pana nadziewają na pal w *Panu Wołodyjowskim*, to nie zrobiło to na panu wrażenia?”. Miałem straszną treść, ale się odważyłem i zadałem mu to pytanie. On odpowiedział, że oczywiście, że zrobiło to na nim wrażenie, i opowiedział nam, jak to dokładnie kręcili. Po tym, jak zadałem to pytanie, ten człowiek, który siedział na widowni, powiedział do dwóch moich koleżanek coś, czego ja do tej pory nie jestem w stanie zrozumieć. On powiedział: „Ten chłopak będzie słynnym aktorem”. Dokładnie tak.

– **Aż dreszcze mi przechodzą po plecach. Dziewczyny były pewnie pod wrażeniem?**

– One po tym spotkaniu przybiegły do mnie i powiedziały: „Słuchaj, Artur, ten facet, który przyjechał z Olbrychskim, powiedział, że ty będziesz sławnym aktorem”. Wtedy tylko się uśmiełem. Ale potem, jak wygrałem pierwszy konkurs recytatorski, to one chodziły za mną i mówiły: „A widzisz, a widzisz, facet miał rację, będziesz sławnym aktorem”. Później te dziewczyny odeszły ze szkoły, bo były w ostatniej klasie i ja właściwie zapomniałem o tym wszystkim. No, a potem stało się tak, jak się stało: dostałem się do szkoły aktorskiej, potem kręciłem z Jerzym Hoffmanem *Znachora* i... przypomniałem sobie to zdarzenie. Pytałem nawet pana Jerzego, kto to mógł być. Potem Daniela pytałem – oczywiście – opowiedziałem mu tę historię. Pytałem, kto mógł być tym „jasnowidzem”, ale nikt nie pamiętał, nie wiedział...

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 3

NIE BĘDĘ CUKIERNIKIEM

– **Po liceum egzaminy na studia. Ktoś pomógł ci się przygotować?**

– Jeszcze w czasie przygotowań do konkursu recytatorskiego chodziłem do Domu Kultury w Częstochowie, gdzie był taki starszej daty aktor, pan Łoziński, który mnie przygotowywał. Nauczył mnie oddychać, trzymać napięcie, kiedy można zrobić pauzę i jak długo ona może trwać, żeby była prawdziwa. Nauczyłem się prawdy. To cały czas wkładał mi do głowy – że mam panować nad emocjami, że muszę być prawdziwy. Nie może być ani jednego słowa, które zabrzmiałoby fałszywie. Ale będzie ono prawdziwe – nawet jeśli to będzie tak trudna poezja jak Różewicz – dopiero wtedy, kiedy będę wiedział, co chcę poprzez tę poezję powiedzieć, że to musi być moje! Poety, ale jednocześnie moje. I to była wielka, wspaniała szkoła.

– **Przygotowany złożyłeś papiery...**

– Wtedy były trzy szkoły aktorskie: w Warszawie, w Łodzi i w Krakowie. Chciałem zdawać do Krakowa, bo miałem najbliżej, ale dowiedziałem się – takie plotki chodziły – że tam trzeba mieć odpowiedni wzrost, wygląd i że facetów przyjmują od metra siedemdziesiąt pięć wzwyż. No, a ja mierzyłem metr sześćdziesiąt dwa, ważyłem czterdzieści osiem kilogramów i w ogóle nie wyglądałem... na aktora. Aktor musiał mieć wygląd. Tak więc Kraków odpadał. W Warszawie... tam z kolei się dowiedziałem, że aby się dostać, to trzeba chodzić na różne kursy, konsultacje, a najlepiej to mieć prywatne lekcje u znanych aktorów, szczególnie u tych, którzy w tej szkole wykładają. A ja nie miałem forsy na to, żeby dojechać do Warszawy, a co dopiero na jakieś lekcje czy żeby jeździć regularnie na zajęcia... Ale dostałem cynk, że w Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi będą na wydział aktorski przyjmowali... nienormalnych.

– **Co?!**

– To nie znaczy takich nienormalnych w sensie, no wiesz... Tylko nietypowych. Tak jak tamte szkoły miały kształcić głównie przystojniaków – co okazało się później nieprawdą, bo do Krakowa wcale nie było limitu wzrostu – to w Łodzi będą stawiali na osobowość. No, to mówię sobie: „Łódź! Jeśli chcą nietypowych, to ja jestem bardzo nietypowy!”. Spojrzałem w lustro – wypisz, wymaluj idealny kandydat, nadaję się jak nikt!

– **Więc Łódź. Wystarczyła wiara, że to jest szkoła dla ciebie?**

– Tak. No i pojechałem do tej Łodzi złożyć papiery, ale sekretarka, jak mnie zobaczyła, bardzo się zdziwiła. Przynajmniej nie wierzyła, że mam tyle lat, ile mam. Podobno wyglądałem na jakieś czternaście. Miałem długie włosy obcięte na pazia... Coś okropnego. Wyglądałem jak mała dziewczynka. I ta pani bardzo mi współczuła, że ja poniosę na tych egzaminach ogromną porażkę. Chciała mnie tak trochę zniechęcić. Ale ja byłem uparty i powiedziałem, że nie, że ja jednak chcę spróbować. Tym bardziej że miałem już jakieś potwierdzenie... W końcu tytułu Recytatora Roku za piękne oczy nie dają. Wiedziałem już, że coś z tym wyglądem będę musiał zrobić, ale myślałem, że może jeszcze nie teraz. Byłem tak modnie obcięty...

Ale ta sekretarka mi doradziła, żebym poszedł do takiej poradni konsultacyjnej, tam w szkole, żebym się dowiedział, czy się nadaję, czy nie. Żeby uniknąć rozczarowań, bo lepiej w ogóle nie zdawać, niż potem płakać. Poszedłem do tej poradni. Troje pedagogów, jeden profesor czytał gazetę, jedna starsza pani lekko drzemała, inna rozwiązywała krzyżówkę... Wiedziałem, że trzeba się przedstawić, więc głośno i wyraźnie powiedziałem, że nazywam się Artur Barciś. Oczywiście nie zrobiło to na nich najmniejszego wrażenia, za to jak mnie zobaczył ten główny pan profesor, to powiedział: „O Boże... o mój Boże... Ma pan przygotowane jakieś teksty? To niech pan powie”. Ale widać było, że biło od niego takie zniechęcenie i takie marzenie, żeby wreszcie przyszedł ktoś normalny, a nie jakieś takie...

– **Ciebie to jednak nie zniechęciło.**

– Zacząłem mówić i ta gazeta tak lekko mu opadała, opadała... Powiedziałem ten swój *Niejasny wiersz* Różewicza i, o dziwo, oni wysłuchali całego wiersza do końca! A wiersz był dosyć długi.

– **Podobało im się?**

– Raczej tak, bo zapytali, czy mam przygotowane coś jeszcze. Oczywiście miałem. Wysłuchali bez większych uwag i powiedzieli: „Coś w panu jest, tylko mamy jedną radę”...

– **Niech pan obetnie włosy!**

– Tak! „Niech pan idzie do fryzjera. I tak będzie pan wyglądał, jak pan wygląda, ale będzie dużo korzystniej”. No i poszedłem do tego fryzjera, ale nie obciąłem włosów zupełnie na krótko, bo było mi szkoda. Taka była moda po prostu.

– **I wreszcie zaczęły się egzaminy...**

– Pierwszy etap polegał na tym, że kazali powiedzieć fragment prozy, fragment wiersza i zaśpiewać piosenkę. Zacząłem mówić wiersz, już nie pamiętam jaki. Wysłuchali mnie do końca, co zazwyczaj się nie zdarza. Za dużo kandydatów, nie ma czasu. W każdym razie wysłuchali mnie do końca, a potem kazali powiedzieć fragment prozy. Pamiętam, że to był jakiś fragment opowiadania Pruszyńskiego. Znowu pozwolili mi to powiedzieć do końca, a potem poprosili o piosenkę.

Ja nie wiedziałem do końca, jaką tę piosenkę trzeba przygotować. Dla mnie piosenka to był Grechuta, to była Demarczyk, to był mój świat, więc przygotowałem piosenkę, do której sam napisałem słowa i muzykę: „Jak duszno jest, jak ciemno jest, jak strasznie jest daremno...”. I takim zmęczonym głosem zacząłem śpiewać. Przerwali mi od razu: „Dziękujemy, dziękujemy, a teraz proszę nam coś zaśpiewać”. Zorientowałem się, że nie o to im chodziło, i zapytałem: „Ale co?”. A oni: „Wszystko jedno, byle głośno i wyraźnie”. „A... *Szła dziewczeczka do laseczka* może być?”. „Może”. No to ryknąłem pełnym głosem: „*Szła dziewczeczka do laseczka...*”. A oni: „Bardzo dobrze, o to nam chodziło”.

– **No i oczarowałaś komisję!**

– Bez przesady, a już na pewno nie wszystkich. Po moim wyjściu zrobili przerwę. Zaczęła się narada, ponieważ komisja się bardzo podzieliła. Jedna część twierdziła, że powinienem jeszcze poczekać, dojrzeć, że w tym roku jeszcze nie powinno się mnie przyjmować, a i tak na pewno przyjdę za rok. Druga część komisji uważała, że w żadnym wypadku, że trzeba mnie przyjmując i już szlifować. Nie wiadomo przecież, co się ze mną stanie, że jak mnie nie przyjmą i pójdę na przykład do wojska, to się zmarnuję. Prawdę mówiąc, sam też strasznie się bałem tego wojska. Panicznie. W tej grupie, która mnie nie chciała przyjmować, był Jan Machulski, który miał być opiekunem tego rocznika, więc miał prawo dobrać sobie taki zespół, jaki chciał. Ale w drugiej była, na szczęście, dziekan wydziału aktorskiego – pani Maria Kaniewska. To ona się zaparła i powiedziała „Ja go przyjmuję na moją odpowiedzialność”.

– **Dowiedziałeś się o tym?**

– Tak. Studenci, którzy tam siedzieli z tyłu przy egzaminach, słyszeli tę dyskusję, a znając „Mańkę” – bo tak się mówiło o pani dziekan – wiedzieli, że ona nie popuści i że ja na pewno do tej szkoły się dostanę. Jeden z nich podszedł do mnie na korytarzu i powiedział: „Mały, dostałeś się do szkoły?”. Pomyślałem: „Przecież to pierwszy etap! Gdzie, jak?”. Powiedziałem mu, że jeżeli to prawda, dostanie ode mnie butelkę szampana.

– **Dostał?**

– Jasne, nawet dwie. Ale to nie był koniec. Po tych pierwszych eliminacjach wysłali mnie do lekarza, żeby mnie zbadał, bo istniało takie ryzyko, że nie dam sobie rady z takich przedmiotów jak akrobatyka, szermierka, no, tych fizycznych przedmiotów. Te studia to jednak czasem ciężka fizyczna praca. Musieli sprawdzić, czy nie jestem jakiś chory. Poszedłem do tego lekarza. Właściwie to była lekarka. Kazała mi się rozebrać za parawanem do spodenek. Nie widziała mnie, siedziała tyłem i coś tam wypisywała, stemplowała. Przybiła ostatnią pieczętkę, spojrzęła na mnie i załamała się: „O Boże, dziecko, przecież ty jesteś niedorozwinięty!”.

– **Nie złościło cię, że znowu ktoś tak reaguje?**

– Przyzwyczaiłem się chyba. Ja się nie czułem niedorozwinięty, ale wyglądałem, jak wyglądałem. Chudzina taka malutka. No, ale potem ta lekarka zaczęła mnie badać: ważyła, mierzyła, puls, tętno i tak dalej i okazało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, tylko ogólnie taki mniejszy jestem. No i dostałem zaświadczenie – już go nie mam niestety – że Artur Barciś się nadaje... że nie ma przeciwwskazań do wykonywania zawodu aktora. Dostałem giejt, który jak przedłożyłem, to potem już poszło jak z płatka. Dostałem się z drugiego miejsca na

liście. Na osiemdziesiąt punktów miałem siedemdziesiąt dwa.



Pierwszy rok studiów fot. archiwum Autora

– **Brawo!**

– Podczas tych egzaminów miałem też pewną nieprzyjemną przygodę. Czuję się tam strasznie samotny. Pojechałem sam. Jeszcze nie znałem tej Łodzi. Zdawało mnóstwo ludzi, takich przystojnych „byczków”, wiadomo, „aktorzy”. Byłem bardzo przestraszony tym światem. Nikogo nie znałem, miałem potworne kompleksy. Nie umiałem tak sobie podejść do kogoś i zagadać. Na dodatek słyszałem takie na przykład komentarze – pamiętam dokładnie, siedziałem sam gdzieś na korytarzu, stały tam jakieś fotele z teatru... Siedziałem sam na tym korytarzu, obok stała grupka kandydatów i wtedy usłyszałem komentarz: „Zobacz tego, co tam siedzi, ten mały TEŻ zdaje...”. To było o mnie. Wiedziałem, że to było o mnie.



...to te fotele po prawej fot. archiwum Autora

– **Nie wierzę, że siedziałeś cały czas na tym krześle i nie nawiązałeś żadnej znajomości.**

– No, nie, aż tak źle nie było. Podeszła do mnie... Ona mnie po prostu zauważyła, bo to była taka osoba, która zauważa. Podeszła do mnie... Widać było, że jest taka „oblatana”, że wszystko już wie, wszystkie korytarze zna. Potem się okazało, że była tzw. wolną słuchaczką przez ostatni rok. Przyszła do mnie i powiedziała: „Chodź do nas, co tak sam siedzisz. Tam są nasi koledzy, chodź, powiedz coś o sobie”. Więc ja, że na imię mi Artur, a ona: „Duśka jestem”. To była Dusia Trafankowska. Tak zaczęła się jedna z najwspanialszych przyjaźni mojego życia.

– **Była cudowna!**

– Była. Mógłbym o Dusi oddzielną książkę napisać... Jak mi jest źle, to idę sobie do niej na Powązki.

– **Jak rodzice zareagowali, gdy wróciłeś z Łodzi jako student wydziału aktorskiego?**

– Podejrzewam, że moi rodzice mieli cichą nadzieję, że się nie dostanę. Wiesz, wyższe studia wiązały się z wydatkami, a z tym zawsze był u nas problem. Dużo prościej byłoby, gdybym poszedł do jakiejś szkoły, gdzie mógłbym zaraz pracować i zarabiać na siebie. Do tego mój tata dla każdego z synów coś planował: ten miał być tym, ten tym, a ten tamtym. I to było w sumie bardzo racjonalne. Miał jak najlepsze intencje. Nie wszystko mu się udało. Chyba najbardziej mu się nie udało z Andrzejem. Właściwie to tylko z Jackiem, moim młodszym bratem, wyszło tak, jak chciał. Zaplanował, że będzie zegarmistrzem, i Jacek jest zegarmistrzem. Zresztą świetnym.

– **A dla ciebie jakie były plany?**

– Ja miałem być cukiernikiem. Od dziecka lubiłem kuchnię, umiałem gotować, umiałem

piec. Tata wychodził z takiego założenia, że ciastka ludzie będą jedli zawsze, że to będzie dobry zawód, dochodowy. Oczywiście ja nawet nie chciałem o tym słyszeć, żebym był jakimś ciastkarzem. Nie chciałem o tym nawet rozmawiać, ale też z drugiej strony bardzo poważnie brałem pod uwagę, że się nie dostanę do tej szkoły aktorskiej i że się w ogóle nigdzie nie dostanę. Ze względu na moje warunki fizyczne można było przypuszczać, że tak się właśnie stanie. I wtedy gdzieś z tyłu głowy myślałem sobie: „No to może będę... tak jak chce tata, czyli będę miał jakiś normalny zawód, niech to będzie cukiernik czy kucharz, a teatrem będę się zajmował amatorsko”. No, ale na szczęście stało się inaczej. Pamiętam, jak przyjechałem z Łodzi późno w nocy i powiedziałem rodzicom, że się dostałem, to z jednej strony bardzo się ucieszyli, a z drugiej strony... no, widać było, że mamy problem... Ale w końcu powiedzieli: „Trudno, tak musi być i już”, i oczywiście bardzo mi pomagali przez całe studia.

– **Wspierali cię, choć było im trudno.**

– Tak, inaczej nie dałbym sobie rady. Ale i ja wiedziałem, że muszę się dobrze uczyć, żeby dostać stypendium. Dlatego bardzo zależało mi na dobrych ocenach. Ta średnia była bardzo ważna. Dostawałem 600 zł stypendium. To wystarczało na akademik. Z domu dostawałem 1000 zł. To był dla rodziców spory wydatek, ale dla mnie to było to minimum, za które mogłem przeżyć miesiąc.

– **A o co chodzi z tym teatrem taty?**

– Dokładnie nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy, ale wiem, że po wojnie w Mykanowie był Dom Kultury. I tam tata... Pewnie coś go ciągnęło w tym kierunku... Tata był taki zgrywus. Lubił dowcipkować, lubił żartować. Pamiętam, że jako dziecko – nie zapomnę tego nigdy – tak się okropnie śmiałem z dowcipów taty, że się zwijałem ze śmiechu. Pamiętam, jak chodziła u nas po ulicach pewna żebraczka, taka wariatka trochę. Nosiła ze sobą masę toreb z różnymi śmieciami, które zbierała. Chodziła i dyskutowała sama ze sobą i co chwilę krzyczała: „Tak! No tak”. Mój tata, mijając ją, rzucał tylko: „Może tak, a może nie” i nie odwracając się, szedł dalej. No i się zaczynało. Raz mało go nie pobiła, taka była wściekła. Dla tej kobiety wszystkie jej przemyślenia były świętą prawdą, to były odkrycia i nie wiem co tam jeszcze, i nagle ktoś śmiał w to wątpić. Nie chodziło o to, żeby się naigrawać z tej kobiety, tylko żeby wywołać określoną sytuację, która była bardzo, bardzo zabawna.

– **Nadal nie wiem, co z tym teatrem, podobno twój ojciec założył jakiś teatr...**

– Nie wiem, czy on go założył, ale w Mykanowie był amatorski teatr i tata tam grał i reżyserował.

– **Po chorobie czy wcześniej?**

– Przed chorobą. Nas jeszcze nie było na świecie. Mama była kierowniczką biblioteki w Mykanowie, a tata, pracując na kolei, po godzinach tworzył ten teatr. Bo to był taki teatr z prawdziwego zdarzenia, były kostiumy i scena, i reżyseria, i naprawdę duże sztuki... głównie komedie... wyłącznie komedie, ale to dlatego, że tylko takie spektakle ludzie chcieli oglądać. Pamiętam, że wystawiali takie sztuki jak *Romans pani majstrowej*, ale był też *Skąpiec* Moliera czy *Grube ryby* Bałuckiego.

– **Ty też grałeś, wiele lat później, w *Grubych rybach*...**

– Bo *Grube ryby* to jest takie przedstawienie, które zatoczyło pewne koło w naszej rodzinie. *Grube ryby* to był triumf. Najczęściej grany spektakl. Tata grał Pagatowicza i reżyserował. Z tego, co pamiętam, to chyba nawet pokazywali ten spektakl na jakimś festiwalu w teatrze w Częstochowie... Ale mogę się mylić, może to była inna sztuka. Byli zresztą zarejestrowani w teatrze w Częstochowie jako taka grupa amatorska, która pracuje niedaleko... Za socjalizmu teatr miał obowiązek wspierać takie działania, co zresztą, uważam, było bardzo dobre...

No, a potem, gdy ja zagrałem w Teatrze Polonia Krystyny Jandy Pagatowicza w *Grubych rybach* i kiedy chciałem zaprosić tatę na premierę, to już wiedziałem, że to będzie niemożliwe... Miesiąc przed premierą ojciec dostał wylewu i w ogóle wszystko się posypało... Dwa tygodnie przed premierą zmarł...

– **To twoja mama poznała artystę – lokalną gwiazdę?**

– Trochę tak! Trochę tak... Nie znam żadnych szczegółów, bo moi rodzice nie byli zbyt wylewni, jeśli chodzi o takie opowieści... Poznali się i już. Trudno było mojego tatę wyciągnąć na jakieś zwierzenia. Ale o teatrze mówił. Dlatego coś tam wiem... No, tak się poznali... Z tym że to wszystko jest połączone, bo tata jednocześnie pracował i miał gospodarstwo rolne. Kiedy dziadkowie poumierali, zostało to jakoś podzielone i część tego gospodarstwa przypadła tacie. I tata się ożenił, założył rodzinę i pracował w polu. To była taka typowa rodzina robotniczo-chłopska.

– **A mama?**

– Moja mama była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Pamiętam, miała takie zdjęcie, na którym wyglądała jak amerykańska gwiazda... Piękna! Tak, mama była i jest piękną kobietą. Teraz już ma siedemdziesiąt siedem lat, ale dla mnie nadal jest piękna.



Moja mama fot. archiwum Autora

– **Nic dziwnego, że tata się zakochał...**

– Oboje się, że tak powiem, dobrali. Bo tata, co tu dużo gadać, kurdupel, a mama... Mama miała... ma jedną nogę trochę krótszą. Jako dziecko spadła z drzewa. Zrobił się jakiś ropień w biodrze i to biodro zwyrodniało. Nikt wtedy żadnych endoprotez nie wstawiał... Ale mama spokojnie na tej nodze się poruszała i porusza... Dla taty i dla nas to oczywiście nigdy nie miało znaczenia, bo dla nas mama była zawsze najpiękniejsza.

– **Nie zostałeś cukiernikiem. Tata nie zaplanował ci przyszłości.**

– Jacek jest zegarmistrzem, jak chciał tata. Zresztą tata dobrze go obserwował. Jacek zawsze bawił się, na przykład, sklejjąc jakieś rzeczy z zapalek... Był precyzyjny, lubił to. Teraz jest najlepszym zegarmistrzem w Częstochowie. Jego syn Adrian też jest zegarmistrzem.

– **Rodzina pogodziła się z twoim wyborem i wspierała cię...**

– Andrzej, mój starszy brat, który nie żyje już od trzech lat, był ze mnie bardzo dumny. On już wtedy pracował i gdy przyjeżdżałem w czasie studiów do domu, to często parę złotych dawał mi do kieszeni.

Rodzice wspierali mnie. Tata jakby nie do końca wierzył, że mi się uda. Podejrzewam, że z powodu swojego mikrego wzrostu, który i ja częściowo po nim odziedziczyłem. Uważał, że nie ma takiej możliwości, żebym mógł coś osiągnąć w zawodzie aktora. Bał się, że przez to będę nieszczęśliwy. A mama? Mama zawsze we mnie wierzyła i marzyła, że jak już będę grał, to żebym grał w pięknych kostiumach... A ja ciągle grałem w jakichś łańkach... Pamiętam, że gdy przyjeżdżała na premiery do Warszawy, to mówiła: „Znowu tak brzydko cię ubrali...”.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 4

FILMÓWKA

– **Pierwsze wspomnienia z twoich studiów aktorskich...**

– Cudowne... Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna... Cudowne... Co prawda pierwsze doświadczenia były dość bolesne, no... fuksowanie. W naszym przypadku było bardzo nieprzyjemne. Głównie dlatego, że fuksowali nas bardzo długo... Za długo. Normalnie fuksówka trwała około miesiąca... Nie wiem, czy mam mówić, co to jest fuksówka?

– **Mów. Nie wszyscy studiowali aktorstwo...**

– To taki „chrzest”. Rodzaj „fali”. W Łodzi to była tradycja mocno uświęcona. Coś bardzo ważnego. Rozumieliśmy, że ma to jakiś sens. Trochę się buntowaliśmy, ale wiedzieliśmy,

że to jest potrzebne. I rzeczywiście, pozwoliło nam to poznać samych siebie, jacy jesteśmy. Wiedzieliśmy, że za chwilę będziemy musieli ze sobą współpracować. Będziemy musieli uruchamiać czasem bardzo intymne sfery swego życia na scenie. Ważne było, żebyśmy byli zgraną grupą, żebyśmy byli takim zespołem, który w razie czego da sobie radę. Tak się zresztą później stało, więc ta fuksówka była, w sumie, potrzebna. Mimo że była niezwykle uciążliwa.



Fuksówka. Ja z „M” na piersi, Dusia nade mną po lewej, obok mnie Greta fot. archiwum Autora

– **Fuksówka ma swoje zwyczaje...**

– Wszystkiego musieliśmy doświadczyć. Pamiętam „kurtynekę”! To było straszne, po prostu straszne. Oczywiście, nie wiedzieliśmy, na czym ta „kurtyнка” polega. Wiedzieliśmy, że będzie, ale nie mieliśmy pojęcia, co to jest, nie udało nam się dowiedzieć, o co chodzi. Okazało się, że zaprosili tylko chłopców i posadzili nas przed kurtyną w największej sali. Zaświecili reflektorami w oczy i zadawali różne pytania dotyczące dziewczyn. Każdy musiał odpowiedzieć, która dziewczyna jest najfajniejsza, a która beznadziejna, którą się lubi, a której nie. Nie można było powiedzieć, że wszystkie są fajne, którąś trzeba było wybrać. To akurat było łatwe. Dużo było tych pytań dotyczących naszych koleżanek.

– **Którą z koleżanek uznałeś za najfajniejszą?**

– Duškę... Bo Duśka była cudowna, inteligentna, dusza człowiek. Uroczą. Pamiętam też, którą wybrałem jako okropną, ale ci nie powiem.

– **Dobrze, ale wróćmy do „kurtyнки”.**

– Cała istota... jakby to powiedzieć... terapeutyczno-pedagogiczno-psychologiczna tej „zabawy” polegała na tym, że na koniec spotkania kurtyna się odsłaniała i okazywało się, że na scenie siedziały nasze dziewczyny i słyszały to, co o nich mówiliśmy. I ta, która przez większość została uznana za beznadziejną, też się o tym dowiedziała. Taka lekcja pokory.

– **A inne zwyczaje fuksówki?**

– Oj, różne, np. musieliśmy chodzić tylko przy ścianach, do każdego studenta ze starszych lat trzeba było mówić „pan/pani”. O trzeciej nad ranem wpadali, robili nam kipisz w akademiku i trzeba było słać łóżka na nowo, bez jednego zagniecenia. Trochę było to podobne do „fali” w wojsku, choć bez fizycznej przemocy. Cóż, tradycja i tyle. W sumie wszystko byłoby w porządku, gdyby nie przeciągał się termin zakończenia tej zabawy. Na szczęście jakoś się dogadali i nadszedł kres naszych męczarni. W szkole to było wielkie święto. Najważniejszą częścią tego święta był nasz występ.

– **Udało się?**

– O tak. Przygotowaliśmy go bardzo starannie. Napisałiśmy nasz hymn, pamiętam go do dziś.

Oto stoimy tu przed wami.

Bezbronni jak oseski.

Drżący jak dzieci z kompleksami

Ratunku patrząc deski.

Kto będzie naszym drogowskazem.

Kto na pomocy zdobędzie się gest.

Każdy z osobna, wszyscy razem

Wołamy nasze SOS.

Pomóżcie nam krok pierwszy dziś postawić.

Powiedzcie nam, jak żyć, by ludzi bawić.

Pomóżcie nam zgadywać kształty sztuki.

Nauczcie nas, bo trzeba nam nauki.

Zaśpiewaliśmy to na koniec naszego programu.

– **Mówiłeś wcześniej, że fuksówkowe zgranie przydało się wam, gdy broniliście kolegi. O co chodziło?**

– Mieliśmy takiego kolegę, który był piekielnie zdolny. Piekielnie. No, talent taki, że po prostu ciarki przechodziły. Był przy tym nadzwyczaj inteligentny. Miał jednak problem alkoholowy. Do tego szkołę postrzegał jako pewien etap... No, w sposób wybiórczy podchodził do poszczególnych przedmiotów. Zupełnie go np. nie interesował taniec, który na początku był po prostu baletem. Ćwiczenia przy drążku i takie tam. Nie chodził na te zajęcia albo gdy już przyszedł, to pokazywał, jak bardzo go to nie interesuje, bo on nigdy czegoś takiego nie będzie robił. Tylko że szkoła to szkoła i wszystko trzeba było zaliczyć. On tego tańca i czegoś tam nie zaliczył i chcieli go wyrzucić. Postanowiliśmy do tego nie dopuścić.

– **To raczej trudne, żeby przekonać kadrę do kogoś, kto lekceważy część przedmiotów. Tak to przynajmniej wyglądało z ich strony. Co mogliście zrobić?**

– Zrobiliśmy strajk. Strajk okupacyjny. Całym rokiem usiedliśmy w gabinecie dziekana wydziału aktorskiego i oświadczyliśmy, że nie wyjdziemy, dopóki Roman z powrotem nie znajdzie się na liście studentów. Wiesz, to były lata siedemdziesiąte – siedemdziesiąty szósty lub siódmy – i to, co zrobiliśmy, było nie do pomyślenia. Chyba nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Uważaliśmy, że wszystkich przecież nie wyrzucą. Nie było nikogo, kto byłby szefem tej grupy. Po prostu cały rok usiadł w gabinecie i powiedzieliśmy: „Nie!”. No i wygraliśmy. Dziekan chyba bał się afery i Romek został.

– **To mu coś dało?**

– Tak, tak... uspokoił się trochę i jakoś wszystko pozaliczał, a potem był już następny rok, a wiesz, im dłużej się jest w szkole, tym trudniej z niej wylecieć. Profesorowie docenili jego talent i na pewne rzeczy patrzyli przez palce, bo po prostu widzieli, co robi na scenie. To jest

w końcu najważniejsze. Przecież po to uczą w tej szkole, żeby aktor wyszedł na scenę i grał.

– **A kto z wykładowców pomógł tobie – żebyś wyszedł na scenę i grał?**

– Najwięcej dała mi chyba pani profesor Ewa Mirowska. To niezwykle mądra kobieta. Niezwykle! Wspaniała aktorka, która świadomie zrezygnowała z wielkiej kariery, z bycia gwiazdą. Mogła to wszystko mieć, bo była i jest wyjątkowa. Ja intuicyjnie zawsze czułem, że najważniejsza u aktora jest prawda, wiarygodność. Jakiegokolwiek postaci by się nie grało, trzeba być wiarygodnym. Tak właśnie starałem się grać. Ewa Mirowska uświadomiła mi, że to jest za mało, że ta prawda jest oczywista, że trzeba szukać głębiej. Nie można brać tylko tego, co wynika z tekstu. Każda postać może mieć drugie dno. Należy szukać czegoś, co można zagrać, a czego pozornie w tekście nie ma. Nie można zmieniać postaci, bo ona ma być zgodna z tym, jak została napisana, ale można poszukać w niej czegoś więcej – tego, czego nie widać.

Pamiętasz *Milczenie owiec*? Anthony Hopkins, tworząc Hannibala, zagrał to, o czym mówię. Nikt tak do tej pory nie grał psychopatycznego mordercy. Ta postać ma tajemnicę. Zagrać naturalnie i w miarę wiarygodnie jest stosunkowo łatwo. Naprawdę. Prawdziwe wyzwanie to zagrać tę resztę. Ta reszta jest najciekawsza. To jest właśnie tzw. wartość dodana, której kazała mi szukać Ewa Mirowska.



Korytarzowe dyskusje z Joanną Kańską i Jankiem Koniecznym (w czarnym T-shircie) fot. archiwum Autora

– **Ktoś jeszcze?**

– Jadwiga Chojnacka. To była wspaniała, pełnokrwista aktorka. Podziwiałem ją. Każdy pamięta, jak grała matkę Jagny w *Chłopach*. Jej charakterystyczny głos był nie do podrobienia. Uczyła nas gry w sztukach klasycznych. Ona upewniła mnie w tym, co zawsze czułem: prawda

w postaci jest niezwykle ważna, widz ją czuje i dla tej prawdy przychodzi. Nieważne, jaki masz tekst, liczy się, czy potrafisz pokazać prawdę w nim zawartą, liczy się to, czy widz ci uwierzy. No i emocje. „Kłamiesz!!!” i „Zimno mi!!!” – krzyczała. „Kłamiesz” znaczyło, że nie było prawdy w tym, co graliśmy, a „Zimno mi” – że nie było wystarczających emocji.

– **Do tej pory opowiada się, że Jadwiga Chojnacka słynęła nie tylko ze zdolności pedagogicznych czy gry aktorskiej, ale też ze swojego skąpstwa...**

– To prawda. Pamiętam, że bardzo lubiła keks. „Masz tu złotówkę i kup mi keks” – mówiła do mnie. Tylko że ten kawałek keksu kosztował trzy złote! No i trzeba było dołożyć ze swoich. Zwyczajem było np. to, że studenci zabierali ją z dworca Łódź Fabryczna taksówką, za którą sami oczywiście płacili.

– **A przyjaźnie z tego okresu?**

– Myśmy byli, przy tej całej integralności, jednak rokiem dość podzielonym. Najprostszy był podział na tych, którzy mieli pieniądze, i na tych, którzy ich nie mieli. Była grupa w miarę przynajmniej zamożna, która jadała obiady w restauracjach, i była taka, która jadała w stołówce albo w akademiku. Ale to też się często mieszało, bo jeździliśmy na obozy szkolne... To były fantastyczne wyjazdy pod wodzą „generała” Brudza, czyli naszego pana od akrobatyki. Uczyliśmy się jeździć konno, żeglować, jeździć na nartach i on to wszystko nam organizował. Nauczył mnie grać w brydża i w kierki. A przyjaźnie? Tworzyliśmy taką grupę bardzo bliskich i zżytych przyjaciół z akademika. Mieszkaliśmy w jednym pokoju: Janek Konieczny, Krzysio Leszczyński i ja. To, co nas łączyło przez całe studia, to była prawdziwa przyjaźń. Potem się to rozsypało, bo po jakimś czasie rozjechaliśmy się w różne części świata. Janek wyjechał do Niemiec. W tej chwili jest bardzo cenionym panem profesorem w jednej z najlepszych szkół teatralnych w Niemczech. Krzysiek również mieszka w Niemczech i tam pracuje.

– **Ktoś jeszcze?**

– Olek Trąbczyński, który jest dziś aktorem w Warszawie. Mieszkał z nami w akademiku, ale studiował chemię na politechnice. Właściwie to my z filmówki mieszkaliśmy w ich akademiku, bo nasza uczelnia nie miała wtedy własnego. Wspaniale śpiewał i grał na gitarze. Gitara, piosenki Grechuty, świece, papierosy, wino Cabernet, dyskusje o sztuce, teatrze... Od razu mieliśmy z nim dobry kontakt, ale i on Ignął do nas. Powiedzieliśmy: „Co ty na tej chemii będziesz robił? Przecież to zupełnie bez sensu jest!”. No i namówiliśmy go, żeby rzucił tę głupią chemię i zdawał do nas na wydział aktorski. Wiedzieliśmy, jakie są wymagania podczas egzaminów wstępnych, więc przygotowaliśmy Olka bardzo dobrze. Daliśmy mu teksty, które profesorowie lubili, uczyliśmy go, jak i co powinien mówić. Pewnie bez nas też by się dostał, bo był zdolny, ale... Z naszą pomocą zdał i to, można powiedzieć, śpiewająco. Przyjaźnimy się do dziś. Jestem nawet ojcem chrzestnym jego syna Tymka.

– **Ciekawy rok. Ktoś jeszcze?**

– Greta oczywiście, czyli Grażyna Dyląg. W tej chwili jest aktorką, że się tak wyrażę, pośrednio, bo choć sama zrezygnowała z zawodu, to jest matką Izy Miko. Greta miała talent do przedziwnych zdarzeń. Opowiadała niestworzone historie, w które oczywiście nikt nie wierzył, a które potem okazywały się prawdą. Greta jedzie na wakacje do Szwecji. „Masz załatwioną pracę?” „Nie mam, ale coś znajdę”. Po wakacjach Greta w markowych džinsach, wranglery, bajery i plik koron w portfelu. „To na zmywaku można tyle zarobić?” „Na jakim zmywaku? Legalnie pracowałam na przystani promowej w Urzędzie Celnym. Sprawdziałam, czy studenci mają prawdziwe i aktualne legitymacje”. Akurat! Nikt jej nie wierzył. Dwa tygodnie później pojawił się młody, przystojny mężczyzna z ogromnym bukietem kwiatów. Chodził po tym korytarzu i... szukał Grażyny, która w wakacje pracowała w Urzędzie Celnym w Szwecji. Chciał się odwdziczyć za „puszczoną” fałszywą legitymację.

Od tamtej pory obiecałem sobie, że uwierzę we wszystko, co powie Greta, bo u Greta wszystko jest możliwe. Niedawno mi mówiła, że Jack Nicholson uwielbia jej pierogi. Iza Miko mieszka w Hollywood, Greta często tam bywa, więc czemu nie?

– **A Duśka?**

– Och, Dusia. Bardzo żałowałem, że nie byłem z Duśką na studiach w jednej grupie. Była ulubienicą Machulskiego i on ją wziął do siebie. Prawie ze sobą nie graliśmy, dopiero w dyplomach... Była świetną aktorką. Zawsze lepiej się pracuje z kimś, kogo się lubi, kogo się zna i kto jest bardzo, bardzo utalentowany... W szkole teatralnej siedzi się czasem od rana do późnej nocy z przerwą na obiad. Dlatego ciągle byliśmy razem... Ja się w Duśce trochę podkochiwałem. Tylko że ona zawsze miała swoich chłopaków... Jeszcze na studiach poznała Waldka...

Bardzo chcieliśmy grać razem i w końcu się doczekaliśmy. Graliśmy w dyplomie parę zakochanych. Amerykański musical, wystawiany nie w szkole, ale na dużej scenie w jakimś domu kultury. To było słynne *Kiss me, Kate* w reżyserii Andrzeja Żarneckiego, który nas uczył interpretacji piosenki. Wtedy się zakochałem w musicalu... Potem było *Wesele* Wyspiańskiego. Dusia grała Marysię, a ja Dziennikarza. Reżyserował Jan Zdrojewski.

– **Z tego, co opowiadasz, to dobrze się uczyłeś. Miałeś kiedyś dwóje?**

– Miałem. Razem z Jolą Buszko – obecnie cenioną aktorką francuską – przygotowaliśmy scenę ze współczesnego dramatu, który był napisany bardzo przystępnym językiem. Dwoje ludzi rozstało się, ale chcą do siebie wrócić, tylko nie wiedzą jak. On przychodzi do niej pod pretekstem zwrotu książki. Wszystko jest ukryte za półsłówkami, myśli są rwane. Dobrze nam się to grało, bo słowa były takie, jakich sami byśmy użyli w podobnej sytuacji. Dziekan Jan Zdrojewski uznał, że nam nie zalicza, bo według niego mówiliśmy własnymi słowami, że to była improwizacja, a nie przygotowana scena. Wstawił nam dwóje. Prawda była taka, że nie zmieniliśmy w tekście ani jednego słowa. Czuliśmy się potwornie skrzywdzeni. Wprawdzie nie było nagrania z tego egzaminu, ale byli świadkowie, no i egzemplarz sztuki. Wstawili się za nami Ewa Mirowska i inni profesorowie, no i dziekan dostawił do tych dwój plusy i zaliczył nam przedmiot. Do dziś bardzo jesteśmy z Jolą dumni z tej dwójki z plusem.

– **To jeszcze na chwilę wróćmy do dyplomu. Wypadł dobrze?**

– Zrobiliśmy te dwa przedstawienia, o których mówiłem: *Kiss me, Kate* i *Wesele*. Grupa Machulskiego przygotowała jeszcze *Fizyków* Dürrenmatta. Nasze *Wesele* zakończyło się bardzo spektakularnie. Podczas ostatniego przedstawienia podaliśmy widowni i aktorom prawdziwy alkohol – jak to na weselu... To miał być rodzaj takiego happeningu. Zielone przedstawienie. Ciekawiło nas, jak alkohol wpłynie na naszą grę. Co się stanie z nami... i z widownią. Nie pamiętam, czy podawane było wino, czy wódka – pewnie jedno i drugie. To była masakra. Publiczność wchodziła na scenę, próbując wpłynąć na losy bohaterów. Jeden z aktorów o mało nie rozwalił nam całą dekoracji. Ktoś się pokłócił za kulisami, ktoś się pobił. Koszmar jakiś. Nie wiem, jakim cudem dograliśmy do końca. To święta prawda, że grając pijanego, trzeba być absolutnie trzeźwym.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 5

TEATR NA TARGÓWKU

– Ciekawa jestem, co się z tobą działo po „pijanym spektaklu”...

– Wszyscy czekaliśmy na angaże. Przedstawienia dyplomowe są głównie po to, żeby przyjechali dyrektorzy teatrów z całej Polski i nas, młodych aktorów, angażowali. Prawdę mówiąc, nie chciałem iść gdzieś na prowincję, bo wiedziałem, że ze swoim wyglądem, który ciągle był... no, taki sobie, powinienem szukać pracy tam, gdzie będę mógł się pokazać, gdzie dam się odkryć. Liczyłem na to, że zostanę w Łodzi, bo już na trzecim roku grałem w Teatrze 7.15 w spektaklu *Taka noc nie powtórzy się więcej*. Marzyły mi się Wrocław, Gdańsk. Na prowincję nie chciałem. I tu kolejna lekcja pokory. Prowincja mnie też nie chciała. Nikt mnie nie chciał. Nie dostałem żadnej propozycji.

– **Dotąd się nie poddawałeś, to chyba i w tej sytuacji coś wymyśliłeś...**

– Znasz mnie. Postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. Pomyślałem, że jak spadać, to z wysokiego konia, i pojechałem do Warszawy. Uznałem, że stolica jest największym rynkiem pracy i tam mogę mieć jakąś szansę. Pamiętam, że zacząłem od prawej strony – jadąc od Łodzi. Najdalej na prawo był Teatr na Targówku. Wtedy to był stosunkowo młody teatr. Wsiadłem w pociąg i pojechałem. Czyste szaleństwo. Aktor po łódzkiej szkole przyjeżdża do stolicy szukać pracy. No i od tego Targówka zacząłem. Lubilem śpiewać, umiałem śpiewać, umiałem tańczyć, a Teatr na Targówku to był teatr muzyczny i w sumie to bardzo mi odpowiadało. Miał ambicje wystawiania musicali, a to był mój konik. Pracę magisterską pisałem o musicalu. *Ewolucja musicalu filmowego* – taki miała tytuł.



Taka noc nie powtórzy się więcej – Teatr 7.15 w Łodzi. Trzeci rok studiów – za mną Ewa Mirowska fot. archiwum Autora

– **Naprawdę kochałeś musicale...**

– Bardzo chciałem wystąpić w takim muzycznym spektaklu. Teatr na Targówku miał to w planach, więc pomyślałem: „Dlaczego nie?!”. Poza tym miałem świadomość, że do Ateneum czy Powszechnego nie mam żadnych szans. Przecież nikt mnie nie znał.

– **Więc zebrałeś się na odwagę i pojechałeś.**

– Tak, pojechałem na ten Targówek. Przyjął mnie dyrektor Marian Jonkajtys, kazał mi coś zaśpiewać, coś tam zatańczyć, porozmawialiśmy... I właściwie nie wiedziałem, czy coś z tego będzie. „Zobaczmy, ja kompletuję zespół aktorski, damy panu znać...” – usłyszałem. Zupełnie nie wiedziałem, czy się spodobałem.

– **Miałeś czekać...**

– Tak. Wróciłem do Łodzi, gdzie jeszcze miałem jakieś zajęcia. Tydzień później do akademika przyszedł telegram. Mam przyjechać do Teatru na Targówku podpisać umowę! I tak ni stąd, ni zowąd zostałem aktorem scen warszawskich.

– **Wreszcie koniec kłopotów!**

– Akurat! Przecież musiałem nagle znaleźć mieszkanie w tej Warszawie. Musiałem gdzieś mieszkać. Nie miałem pieniędzy, nie zarabiałem jeszcze... Na szczęście miałem taką ostateczną deskę ratunku. Siostra mojej mamy, ciocia Halinka, mieszkała w Warszawie i w razie czego mogłem się tam na chwilę zatrzymać. Na szczęście nie było takiej potrzeby, bo Rysiek

Zatorski – teraz wzięty reżyser i scenarzysta – z którym mieszkałem wtedy w akademiku, przypomniał sobie, że jego babcia ma mały domek na Grochowie i może wynająć mi pokój z kuchnią za parę złotych. Nie było centralnego ogrzewania, paliło się w piecu kaflowym, ale co tam. Miałem dach nad głową, miałem angaż w Warszawie. Byłem przeszczęśliwy.

– **To był rok 1979?**

– Tak. To był kwiecień 1979. Jeszcze przed wakacjami zacząłem próby do musicalu *Fanfan Tulipan* opartego na słynnym filmie z Gérardem Philipe'em. Grałem epizod, postać żołnierza francuskiego... niskiego. Wchodziliśmy razem z moim kolegą Maćkiem. On wysoki, ja – malutki, za to z wielką czapą. To był wesoły widok... W każdym razie spodobałem się, a to zaowocowało kolejną rolą. Okazało się, że mam zdolności komediowe, więc wystąpiłem jako młody zdolny w programie kabaretowym Krzyśka Daukszewicza. Po nim zagrałem w kolejnym kabaretowym przedstawieniu pt. *Karawana*. Śpiewałem słynny *Titanic*... „A gdy «Titanic» tonął, to też orkiestra grała...”. To było to. Były problemy z cenzurą, ale jakoś przeszło. To był już rok 1980. Wtedy dowiedziałem się, że we Wrocławiu odbywa się Przegląd Piosenki Aktorskiej.

– **Kolejne wyzwanie...**

– Dyrektor Jonkajtys powiedział: „Jesteś młody, jedź! Tylko przygotuj coś takiego, żeby... no, wiesz”. W spektaklu *Miejsce dla gwiazdy* śpiewałem piosenkę pt. *Zegarynka*. To było o facecie, który zakochał się w telefonicznej zegarynce, takiej, która mówi: „Siódma piętnaście, siódma piętnaście...”. Jej aksamitny głos tak bardzo mu się spodobał, że się zakochał. W końcu poznał tę dziewczynę, ożenił się, a potem już każdego ranka słyszał: „Siódma piętnaście, siódma piętnaście... wstawaj do roboty”. Taka kabaretowa piosenka. Postanowiłem ją zaśpiewać na tym przeglądzie. Ale trzeba było mieć dwie piosenki i ta druga to już było coś zupełnie innego. Przegląd odbywał się w marcu 1980 roku, pół roku przed Sierpniem.

– **Okres bardzo gorący politycznie...**

– W kraju wszystko już buzowało. Ja byłem zawsze – choć może to za dużo powiedziane – aktywny, a na pewno zorientowany politycznie. Tego jeszcze nie mówiłem, ale od dziecka, chciałem czy nie chciałem, musiałem słuchać Wolnej Europy. Tata, gdy wszyscy kładliśmy się już spać, włączał Wolną Europę. Do radia nie wolno było się nawet zbliżać, bo tam była ustawiona taka fala, że tata tylko naciskał jeden klawisz i już grała ta Wolna Europa. Nic prawie nie było słychać, bo zagłuszali, ale jednak głos spikera się przebijał... Pamiętam, że jako dziecko słuchałem z przejęciem o śmierci prezydenta Kennedy'ego. Bardzo, bardzo mnie to poruszyło. Głos z radia był taki smutny, nikt wtedy u nas nie spał... Wszyscy płakali.

– **I drugą piosenkę wybrałeś pod kątem wydarzeń w kraju...**

– Trochę tak. Doszedłem do wniosku, że we Wrocławiu nie chodzi o poprawne zaśpiewanie ciekawego tekstu, ale o jego nową interpretację – taką, która może widzów zaskoczyć, przekazać coś nowego. Nie chciałem kolejny raz śpiewać na przykład czegoś z Kabaretu Starszych Panów. I tak nie przebiłbym interpretacji pierwowzoru – Ireny Kwiatkowskiej czy Wiesława Michnikowskiego. Instynktownie czułem, że dobrze robię. Dyrektor Jonkajtys uważał, że to jest bez sensu, że nie o to chodzi, ale się uparłem i postawiłem na swoim. Skoro to jest konkurs „interpretacji piosenki”, to trzeba wziąć jakiś znany utwór i go na nowo „zinterpretować”. Znalazłem taki utwór. To dla wszystkich był kompletny szok, bo postanowiłem zaśpiewać *Ukochany kraj* Gałczyńskiego i Sygietyńskiego. Obowiązkowy hymn wszystkich akademii i państwowych uroczystości.

– **Cenzura to przepuściła?**

– Dopisałem wprawdzie do niego kilka własnych wersów, ale ich nie podałem, gdy zgłaszałem teksty. Oczywiście była cenzura i wszystkie teksty sprawdzali, ale ja podałem tylko ten ogólnie znany i przeszło. Wymyśliłem początek śpiewany *a cappella*. To oczywiście było

strasznie naiwne, ale naprawdę tak wtedy czułem. Brzmiało to tak:

*Dlaczego ludzie się nie uśmiechają
Dlaczego patrzą w dal bezsilnym wzrokiem
Dlaczego choć ich dużo, wciąż ich jakoś mało
Dlaczego już nie idą wszyscy równym krokiem
Dlaczego nie chce ci się iść na spacer
Dlaczego nikt nie żyje tak jak chce
Dlaczego nie chcesz jutro iść do pracy
A ciągle śpiewasz, ciągle śpiewasz, że...
Wszystko tobie ukochana ziemio...*

Tu włączało się pianino i dalej śpiewałem z akompaniamentem. Gdy dochodziłem do słów: „Ukochany kraj, umiłowany kraj, nasza droga i słońce, i...”, muzyka zatrzymywała się, chwila ciszy, po czym znowu zadawałem te początkowe pytania, ale zagłuszał je Polonez Ogińskiego, jak te trzaski podczas wiadomości nadawanych przez Wolną Europę. Śpiewałem, starając się przekrzyknąć tę muzykę: „Dlaczego ludzie się nie uśmiechają, dlaczego patrzą w dal bezsilnym wzrokiem... dlaczego nikt nie żyje tak jak chce!!!”. Cisza, a potem spokojnym głosem, jakbym się zorientował, gdzie jestem, mówiłem szeptem: „I po co krzyczysz? No, już, uspokój się” i odchodziłem od mikrofonu, nucąc pod nosem: „Ukochany kraj, umiłowany kraj”. Po policzku płynęła mi łza. Nikt się czegoś takiego nie spodziewał. Nie było braw, zupełna cisza. Zszedłem za kulisy i pomyślałem, że się wygłupiłem. Jednak po chwili usłyszałem... wielkie brawa, jakieś krzyki, to było... Nie potrafię tego opisać. Wszyscy stali. Wszedłem na scenę w czarnych spodniach i czarnym sweterku tylko... ukloniłem się.

– **Rozumieli przekaz, czuli podobnie. Jury doceniło twój występ?**

– Dzięki tej piosence dostałem się do finału. W finale już wszyscy wiedzieli, co będzie, więc gdy wszedłem na scenę, to już dostałem brawa. Zaśpiewałem jeszcze raz. W jury Aleksander Bardini, Jonasz Kofta, Jan Kaczmarek... Późno w nocy było ogłoszenie wyników. Okazało się, że zająłem pierwsze miejsce *ex aequo* z Miską Warzechą, moją koleżanką z teatru.

– **Odważne jury.**

– Ale informacje o mojej piosence cenzura zablokowała. Nigdzie nie było wiadomości o moim *Ukochanym kraju*. Wszędzie podawano, że zdobyłem nagrodę za piosenkę kabaretową *Zegarynka*. Nawet w Polskiej Kronice Filmowej była relacja z informacją, że pierwsze, równorzędne miejsce zajął Artur Barciś z piosenką *Zegarynka*. O *Ukochanym kraju* nie było nigdzie nawet jednej wzmianki, w żadnej gazecie, w telewizji, nigdzie, jakbym jej nie zaśpiewał. Taki to był wtedy nasz ukochany kraj...

– **Dyrektor Teatru na Targówku miał dwoje laureatów Przeglądu Piosenki Aktorskiej...**

– Taki był werdykt jury, chociaż oczywiście za naszymi plecami mówiono różnie. Puszczono pogłoski, że nagrody nam się nie należały, że Jonkajtys nam je załatwił, bo przyjaźnił się z Bardinim, i takie tam. Mieliśmy to gdzieś. Miśka naprawdę zaśpiewała rewelacyjnie. Przyjechaliśmy do teatru w glorii chwały.

– **To był dla ciebie szczęśliwy czas. Rok później przyszła propozycja zagrania w *Znachorze*.**

– Tak, w kwietniu 1981 roku dostałem propozycję udziału w filmie *Znachor*. Bez zdjęć próbnych. Jerzy Hoffman pamiętał mnie z *Do krwi ostatniej*, w którym grałem epizod, będąc jeszcze studentem. Wcześniej zagrałem jeszcze sporą rolę w odcinku *Wagon pocztowy* serialu *07 zgłoś się*.

– **Opowiedz mi o *Znachorze*.**

– To był lipiec. Pierwsze zdjęcia mieliśmy w Radziejowicach. Byłem najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Marzyłem o tym, żeby zagrać w takim filmie. Scenariusz był świetny. Oczywiście znałem przedwojenną wersję *Znachora*. Obie części powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza przeczytałem jeszcze w dzieciństwie. Pięknie było w tych Radziejowicach – pałac, ogród, wielki Jerzy Hoffman, no i aktorzy: Jerzy Bińczycki, Anna Dymna... Było cudownie. Myśm się wszyscy od razu zaprzyjaźnili, nikt nie traktował mnie jak debiutanta. No, może jeden kolega. Kilka kilometrów od pałacu był młyn i tam też mieliśmy zdjęcia. Później przenieśliśmy się do Białej Podlaskiej, gdzie kręciliśmy wnętrza chaty i resztę plenerów. Miałem poczucie, że złapałem Pana Boga za nogi.

Pamiętam jeszcze, że byłem ciekaw, jak ucharakteryzują mi nogi w scenie przed operacją. Okazało się, że przywieźli takiego biedaka chorego na chorobę Heinego-Medina. To jego nogi zostały sfilmowane.

– **Scena łamania nóg jest naprawdę poruszająca...**

– Za każdym razem, gdy widzę tę scenę – a przyznaję, że widziałem ten film ze dwadzieścia razy – to ciarki mnie przechodzą, chociaż wiem, że to tylko montaż. Wiem, że to tylko film, że nikt mi krzywdy nie zrobił, a mimo to wchodzę w ten świat i... To jest właśnie magia kina. Zdjęcia i dobry montaż wywołują takie wrażenie. Wiktor Zborowski, który jest moim serdecznym przyjacielem, gdy *Znachora* pokazują w telewizji, za każdym razem przysyła mi SMS: „I znowu się, k..., przez ciebie popłakałem”.

– **Po zdjęciach w Radziejowicach, zanim zaczęliście kręcić w Białej Podlaskiej sceny w młynie, mieliście przerwę wakacyjną. Odpocząłeś?**

– Planowałem wyjazd z dziewczyną na wakacje. W międzyczasie dostałem jednak propozycję uczestnictwa w zdjęciach próbnych do serialu pod roboczym tytułem *Kajtek*. Takiego krótkiego, czteroodcinkowego miniseriale. Zdjęcia do niego miały być w Katowicach... Wiele razy do tej pory dostawałem takie propozycje, ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Nigdy nie wygrałem.

Uważam, że zdjęcia próbne są czymś okropnym, czymś nieuczciwym, niesprawiedliwym. Nie wiem, może teraz się to zmieniło, ale wtedy... Ja jestem kompletnie na to nieodporny. Aktorstwo wymaga zaufania, luzu, spokoju. A zdjęcia próbne czy, jak to się teraz nazywa casting, to jest wyścig szczurów. To jest sytuacja skrajnie niekomfortowa, ponieważ obok mnie siedzi dwudziestu potencjalnych kandydatów do tej samej roli i ja już widzę, że dziesięciu przynajmniej jest lepszych ode mnie. Potwornie się denerwuję. Na pięć minut przed wejściem dostaję jakiś fragmencik tekstu, którego mam się nauczyć na pamięć, a potem mam wejść i zagrać. Nie jestem w stanie, pokazuję jedną setną swoich możliwości. Jestem stremowany, spięty, a aktor, który jest spięty, może najwyżej jakoś tam powiedzieć tekst. O prawdziwym aktorstwie nie ma mowy. Przynajmniej ja tak mam. Pewnie dlatego, że tak bardzo się denerwowałem, nie wygrywałem zdjęć próbnych.

– **Ale tym razem było inaczej?**

– Zakochałem się. Ewa była po pierwszym roku filmówki. Zналиśmy się od dawna, bo też mieszkała w Rędzinach. To się wszystko tak jakoś nałożyło, miłość, teatr, film. Byłem bardzo szczęśliwy. W ogóle nie myślałem o tym, że mam szansę na tę rolę. Byłem zakochany i chciałem cudownie spędzić dwa tygodnie u przyjaciół w Dębicy. Ale przyszła ta propozycja, więc pojechaliśmy przez Katowice, bo na zdjęciach próbnych można było zarobić parę złotych. Ewa też wzięła udział w castingu, zresztą później zagrała w tym serialu moją siostrę. A ponieważ kompletnie mi nie zależało, byłem na całkowitym luzie, to poszło mi bardzo dobrze.

– **I koniec wakacji?**

– Nie, powiedzieli, że się skontaktują. Pojechaliśmy sobie do tej Dębicy. Po dwóch

tygodniach przyjeżdżam do rodziców, a tu afera, bo mnie szukają (podobno nawet przez radio, ale jakoś nie usłyszałem) po całej Polsce, żebym się stawił w produkcji filmu *Kajtek*. Okazało się, że wygrałem casting i będę grał główną rolę w tym serialu. Oczywiście ucieszyłem się ogromnie. Przeczytałem scenariusz. Był rewelacyjny. Fantastyczny! Janusz Dymek, który reżyserował ten film, był ze „stajni” Andrzeja Wajdy – to ta grupa młodych gniewnych, gdzie byli Agnieszka Holland, Feliks Falk, Ryszard Bugajski, Krzysztof Kieślowski... Może coś myślę, ale tak to zapamiętałem.



500. klaps na planie *Kajtka*, czyli *Odlotu*. Obok mnie reżyser Janusz Dymek fot. archiwum Autora

– **O czym był scenariusz?**

– Scenariusz powstał na podstawie opowiadania Ryszarda Kowalskiego pt. *Kajtek*. Janusz go napisał. Rzecz się dzieje na Śląsku i opowiada o chłopaku, który nie dostaje się do technikum i idzie do zawodówki. Marzy o tym, żeby budować samochody, żeby wyjeżdżać do Włoch, bo tam jest fabryka Fiata itd. Te samochody to jest taka jego pasja i właściwie najważniejsze było to, że praktyki będzie miał w Fabryce Samochodów Małolitrażowych. Wydawało się, że to taka historyjka o chłopaku, który marzy, zakochuje się nieszczęśliwie itd. Tylko że akcja tego filmu dzieje się w Sierpniu 1980. Właściwie to pół roku przed Sierpniem, w Sierpniu i pół roku później. I to było niezwykle interesujące, bo gdy zaczynaliśmy kręcić, było już po wydarzeniach sierpniowych i „Solidarność” to był wielki, naprawdę wielki ruch społeczny. „Solidarność” była bez skazy. Cała Polska, wszyscy byli wyznawcami Lecha Wałęsy. Ja też nim byłem.



Odlot – scena strajku. Nie ma jej w filmie. Obok mnie Tatiana Sosna-Sarno
Autora

fot. archiwum

– **Ten film też miał taki być?**

– Właśnie nie, ten film był inny. Nie apoteozował „Solidarności”. Opowiadał o chłopaku, który nie wie, co się dzieje, na którego wali się historia, a on tej historii w ogóle nie rozumie. Nawet go to specjalnie nie interesuje, bo się zakochał. To było dla niego najważniejsze. Tam była jakaś prawda o tych czasach, że na przykład chłopak się zapisał do ZSMP, ale nie dlatego, że uważał, że socjalizm to coś fajnego, tylko dlatego, że ZSMP organizował wycieczki i on mógł dzięki temu pojechać z dziewczyną, w której się zakochał. Film jednocześnie pokazywał ogromne bądziecie tego PRL-u. Wtedy, w tym krótkim okresie, można było już dużo pokazać.

– **Chłopak był zagubiony, bo nic z tych wydarzeń nie rozumiał...**

– Coś tam rozumiał, ale nie to go interesowało. Mnóstwo było takich młodych ludzi wtedy. A po Sierpniu, gdy nikt już samochodów nie budował, bo cały czas były strajki, to, co się działo dookoła, zaczynało go dotyczyć. Film miał się kończyć taką wielką sceną: hala fabryczna, rozgrzebane samochody, z jednej strony stoją ci, którzy są po stronie partii, z drugiej ci z „Solidarności”. Krzyczą na siebie, drą się, wrzeszczą. Wszyscy się nienawidzą. Do tej hali wchodzi mój bohater, staje między grupami i stop-klatka... Koniec filmu. Taki znak zapytania: Co się dalej stanie?

Dostałem tę rolę, ale zaczęły się problemy. Okazało się, że ja ten serial mam kręcić od października do końca grudnia. Ponieważ miałem grać główną rolę, a zdjęcia były na Śląsku, to poprosiłem dyrektora Jonkajtysa, żeby mnie zwolnił do tego filmu, żeby w przedstawieniu,

w którym gram – to było przedstawienie dla dzieci *Doktor Ojboli* – zrobił za mnie zastępstwo. W pozostałych miałem dublerów. Mógł pójść mi na rękę i nawet grać tę bajkę, ale rzadziej, na przykład w soboty i niedziele. Niestety, nie zgodził się. Nawet nie chciał o tym słyszeć i powiedział, że mam wybierać: albo teatr, albo film.

– **To nie była łatwa decyzja...**

– Etat w Warszawie to było coś bardzo, bardzo cennego. W międzyczasie dostałem mieszkanie służbowe od teatru. Na Targowej mieszkałem już ponad pół roku. Nie mieszkałem tam sam, ale miałem swój pokój, tylko kuchnia była wspólna. To wszystko za bardzo małe pieniądze... Wiedziałem, że rezygnując z teatru, stracę również to mieszkanie. Ale z drugiej strony – główna rola w filmie! Taka okazja mogła mi się nigdy nie trafić. Poza tym wchodziłem w świat reżyserów, którzy naprawdę coś wtedy zaczynali znaczyć. Rysiek Bugajski akurat w tym czasie kręcił *Przesłuchanie*...

– **Wiedziałeś, że praca z nimi to może być twoja wielka szansa?**

– Tak, czułem, że tak właśnie jest, i bardzo chciałem zagrać w tym filmie. Musiałem się kogoś poradzić, ale nie miałem kogo. I wtedy przypomniałem sobie, co powiedział opiekun naszego roku – Jan Machulski, kiedy kończyliśmy szkołę: „Będziecie w potrzebie, dzwońcie”. No to zadzwoniłem.

– **Wiedział, że nie zawracasz mu głowy bez powodu...**

– Powiedział: „Nie masz co się zastanawiać. Musisz iść do przodu. Dużo na tym Targówku już nie ugrasz, a film to jest jednak film. Z twoimi warunkami możesz już nigdy nie dostać takiej szansy”. Miał, oczywiście, rację. Zdecydowałem, że zagram w filmie i odejdę z Targówka. Dyrektor Jonkajtys bardzo się zdenerwował i spowodował, że gdy złożyłem pod koniec lipca trzymiesięczne wypowiedzenie, to w październiku, gdy miałem już zdjęcia do filmu, musiałem grać prawie codziennie w teatrze. Od rana byłem na planie w Katowicach, po południu wsiadałem do samochodu i jechałem do teatru. Grałem spektakl, a potem nocą wracałem do Katowic. Krótki sen i znów na plan. Tak funkcjonowałem cały miesiąc. Nie dostałem zwolnienia z żadnej sztuki. Nawet w spektaklach, w których miałem dublerów, byłem wyznaczony do grania.

Październik, listopad, grudzień i mieliśmy prawie cały film nakręcony. Tylko że na dwa tygodnie przed końcem zdjęć... ogłoszono stan wojenny.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 6

NARODOWY

– **13 grudnia 1981.**

– Przyjechałem wtedy do rodziców na weekend. Z Katowic do Częstochowy miałem niedaleko... Pamiętam, obudziłem się, była straszna zima i wtedy dowiedziałem się o tym, o czym dowiedzieli się wszyscy... Z telewizji. Generał Jaruzelski zamiast *Teleranka*, a potem już tylko pan w mundurze zamiast prezentera... Wydawało mi się, że to się nie dzieje naprawdę, że to żart jakiś. Właśnie tak to wtedy odebrałem. Potem dotarło do mnie, że...

– **Nie masz po co wracać na plan...**

– Dla mnie, młodego aktora, dwa lata po szkole, świat się zawalił. Byłem pewien, że już tego filmu nie dokończymy. On bardzo krytycznie opowiadał o socjalizmie, o tych czasach, o tym syfie. To było bardzo mocne. Chociaż podejrzewam, że i „Solidarność” miałaby pretensje. Tak... wiedziałem, że już nie mam po co wracać na plan.

– **I co zrobiliście?**

– Ogłoszono, że trzeba natychmiast znaleźć się w miejscu swojego stałego zameldowania. To był kolejny problem. Żeby się starać o mieszkanie w Warszawie, musiałem mieć warszawski meldunek i ciocia z wujkiem zameldowali mnie u siebie. Fikcyjnie, bo ja tam przecież nie miałem mieszkać. I nagle się okazało, że muszę zamieszkać z nimi, chociaż obiecywałem, że nie będę im zawracał głowy. Zresztą, oni nie mieli warunków, to było maleńkie mieszkanie na Bielanach w wielkim bloku. Ludzie przyzwyczajeni do swojego stylu życia, oboje wykształceni. Ciocia była przepiękną kobietą, po wojnie studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie kochał się w niej m.in. Ryszard Kapuściński. Do dziś zachowały się listy, jakie do niej pisał. Pracowała w bibliotece, a wujek był szefem instytutu na Elektoralnej, który zajmował się pomiarami twardości metali. Cudowni, pełni życzliwości i ciepła ludzie. Lubili mnie, byli ze mnie dumni, że udało mi się wyrwać z tej mojej wsi i zostać aktorem w Warszawie. Bardzo wiele nauczyłem się od cioci. Takich rzeczy, których człowiek na wsi się wtedy nie uczył... Na przykład, że trzeba dbać o zęby.

No i nagle musiałem mieszkać u nich, dookoła czołgi, godzina policyjna, koszmar jakiś. Wszystko, absolutnie wszystko straciłem. Pieniądzy też nie miałem, bo wcześniej nie pobierałem żadnych wypłat z serialu. Mieszkałem z ekipą w hotelu, miałem wyżywienie na planie. Bałem się, że te zarobione pieniądze gdzieś mi się rozejdą. Planowałem, że jak skończę zdjęcia, wezmę całą sumę za 63 dni zdjęciowe i wtedy może mi się uda kupić jakieś małe mieszkanie w Warszawie albo przynajmniej coś wynająć na dłuższy czas. Potem będę szukał teatru, może w jakimś innym filmie zagram, bo zaczynało się o mnie mówić... Taki miałem plan.

– **W stanie wojennym niejeden plan legł w gruzach.**

– No tak. Nie dostałem ani złotówki, bo produkcja filmu została rozwiązana. Nie miałem mieszkania, nie miałem pieniędzy, nie miałem nic. Byłem kompletnie załamany. Kompletnie. Świat mi się zawalił po prostu. Myślałem, że... Nie wiem, chyba takich rzeczy nie powinno być w tej książce... Trochę to trwało, ale... w końcu jakoś się pozbierałem.

Myślę, że jestem żywym dowodem na to, że nigdy nie należy się załamywać. Nigdy nie wiemy, co nas czeka. Nigdy nie wiemy, czy to, co w danej chwili jest straszne i złe, kiedyś nie zamieni się w coś dobrego. Nie użalałem się nad sobą, tylko kompletnie nie wiedziałem, co robić. Nie widziałem żadnego wyjścia... Żadnego. Atmosfera w kraju też była taka, że... Był „Wujek” i ofiary śmiertelne... Dół potworny. W końcu wziąłem się jakoś w garść i zadzwoniłem znowu do Machulskiego. Opowiedziałem mu dokładnie i szczerze, w jakiej jestem sytuacji. Może czuł się trochę współodpowiedzialny za tę sytuację, bo przecież radził mi złożyć rezygnację w Teatrze na Targówku. Powiedział: „Artur, niewiele mogę, nie załatwię ci angażu, ale może uda mi się umówić cię na rozmowę. Reszta zależy od ciebie”. Udało się, bo załatwił mi spotkanie

z Adamem Hanuszkiewiczem, dyrektorem Teatru Narodowego.

– I jak było?

– Dziwnie. Zameldowałem się w sekretariacie. Chwilę poczekałem. Wszedł Hanuszkiewicz, spojrzał na mnie i powiedział: „Oooo, jesteś, no to chodź, mały, chodź”. Usiedliśmy naprzeciwko siebie i tak siedzieliśmy w ciszy. Hanuszkiewicz wpatrywał się we mnie długo i tylko mruczał od czasu do czasu „Taaaak” i znów cisza. Nie miałem pojęcia, co to „Taaaak” oznacza. Mogło równie dobrze znaczyć: „Janek, kogoś ty mi tu przysłał?!”. Cisza trwała nadal. Nagle Hanuszkiewicz zapytał: „Nauczysz się na jutro koncertu Jankiela?”. Zanim pomyślałem, odpowiedziałem, że tak. „To naucz się i jutro przyjdź tu na dziesiątą”.

– Dostałeś swoją szansę...

– Gdy wyszedłem z gabinetu, dowiedziałem się, że zespół jest w trakcie prób do *Pana Tadeusza*. W domu od razu zacząłem się uczyć. Najpierw pomyślałem: „Zwariowałeś, przecież nie dasz rady w jeden dzień nauczyć się całego tekstu”. Poza tym nie rozumiałem, dlaczego ja mam mówić koncert starego Jankiela. To nie miało sensu. Ale nic, zacząłem wkuwać i... szło mi zadziwiająco łatwo. Wieczorem umiałem prawie cały koncert Jankiela na pamięć.

– Nauczyłeś się tekstu i co dalej?

– Obudziłem się wcześniej rano i dalej powtarzałem słowa wiersza. Miałem cichą nadzieję, że nie będę musiał mówić całości, a tylko jakiś pierwszy kawałek. Oczywiście punktualnie wszedłem do gabinetu dyrektora Hanuszkiewicza. Tam siedzieli już Mistrz Adam, Henryk Machalica i Tadeusz Janczar.

– Wysłuchali cię i...

– Poczekaj. Hanuszkiewicz spojrzał na mnie i zapytał: „Nauczyłeś się?”. Odpowiedziałem, że tak i zacząłem: „Było cymbalistów wielu...”. „NIE! Nie, nie, nie! Zaczynij od «...Znowu gra». Aha, musisz jeszcze coś wiedzieć. Wyobraź sobie, że jesteś synem Jankiela. Twój ojciec, jako polski patriota, zginął w 1812 roku, idąc z Napoleonem na Rosję wyzwalać Polskę. Ty pamiętasz, jak zawsze grał wam, swoim dzieciom, na cymbałach Polonez Konstytucji 3 Maja. Uczył was, że jesteście Polakami. Jesteście Żydami, ale tak samo Polakami, patriotami, że o ten kraj trzeba walczyć i zawsze go kochać. Ty, jego syn, masz fioła na punkcie jego muzyki i patriotyzmu. Po śmierci ojca wszędzie słyszysz jego muzykę”. Wszystko stało się jasne. „...Znowu gra...”. Słyszę muzykę ojca... Nie pamiętam, czy powiedziałem ten koncert Jankiela do końca. Wiem tylko, że gdy skończyłem, zapadła kompletna cisza. Siedzieli i milczeli. Zrobiła się taka pauza okropna... Zupełnie nie wiedziałem, co mam robić. I wtedy Hanuszkiewicz powiedział: „Bardzo dobrze. Jutro przyjdź podpisać umowę. Witam w zespole Teatru Narodowego”. Myślałem, że umrę.



Teatr Narodowy, *Pan Tadeusz*. Obok mnie Tina Winnicka fot. Cezary Marek Langda

– **Pamiętasz datę?**

– Oczywiście. Umowę podpisałem 17 stycznia 1982 roku. W trakcie sezonu! Nie wiem, czy komuś coś takiego się zdarzyło w tamtych czasach. Dyrektor przyjął aktora w trakcie trwania sezonu! Tego samego dnia stanąłem na scenie.

– **Hanuszkiewicz miał swoje metody pracy...**

– Tak. Pracował bardzo intensywnie i szybko wchodziło się na scenę. Wymagał, żeby aktorzy, którzy nie byli potrzebni na scenie, siedzieli na widowni. Nakręcał się, jak miał publiczność. Mnie zaprosił na scenę, a resztę zespołu na widownię.

– **To była twoja chwila.**

– Wyszedłem. Sam na pustej, ogromnej scenie. Reflektory w oczy i nagle... żadnej tremy, nic. Zacząłem mówić i jeszcze bardziej rozumiałem, o co chodziło Hanuszkiewiczowi. Byłem synem Jankiela.

– **Jak się poczułeś?**

– Kiedy – po próbie? Cudownie. Zespół Teatru Narodowego to były same sławy, najwybitniejsi aktorzy. Być wśród nich to było coś... Nigdy żadne przedstawienie nie kończyło się z chwilą, gdy opadła kurtyna. Widownia wychodziła, ale zespół zostawał. Do północy albo i dłużej siedzieliśmy w bufecie i omawialiśmy przedstawienie. Przychodzili wszyscy, inspicjenci, suflerzy, Hanuszkiewicz też siedział z nami. Czasem Jacek Kaczmarski grał na gitarze, śpiewaliśmy... Dookoła ten stan wojenny, a tu kawałek wolnej Polski.

– **Ci wielcy aktorzy przyjęli cię bez zastrzeżeń?**

– Oczywiście! Hanuszkiewicz powiedział: „To jest wasz nowy kolega” i aktorzy z zespołu, również ci najwięksi, traktowali mnie jak kogoś swojego. Pamiętam, jak sam Tadeusz Janczar, którego ja wielbiłem jak boga, podszedł do mnie w bufecie i pogratulował mi interpretacji tego Jankiela. Ja, zmieszany, powiedziałem: „Dziękuję, panie Tadeuszu”, a on: „Jaki pan Tadeusz, mów mi Tadek”. Oniemiałem. Wyszeptałem: „Chyba nie będę potrafił”, a on uśmiechnął się: „Przestań. Tadek jestem i już”.

No i Duśka. Ona już była w Narodowym. Oprowadzała mnie, przedstawiała tym wszystkim wspaniałym ludziom... Poznałem aktorki: Ankę Chodakowską, Halinkę Nowicką, Grażynę Szapolowską, no i Zosię Kucównę. Przez kilkadziesiąt przedstawień *Pana Tadeusza* stałem za kulisami i podziwiałem tę genialną aktorkę, uczyłem się aktorstwa na nowo. Dookoła stan wojenny, a Zosia mówi: „O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju...”. Ludzie słuchali i płakali. Ja też miałem łzy w oczach. Gdy kończyła, zrywały się dzikie brawa. Ludzie przychodzili do teatru, bo to było jedyne miejsce, gdzie można się było legalnie gromadzić. Poza kościołami, oczywiście.

Z tym przedstawieniem wiąże się tyle niewiarygodnych... Potem, gdy Hanuszkiewicz odwołał w grudniu 1982... Trochę przeskakuję, mogę?

– **Możesz.**

– Hanuszkiewicz, gdy już wiedział, że go wywałą, chciał zrobić coś spektakularnego. Postanowił wystawić *Śpiewnik domowy* Moniuszki. Zebrał nas wszystkich i powiedział: „Słuchajcie, ja odchodzę, ale chciałbym zrobić przedstawienie z pieśni Moniuszki...”. Pracowaliśmy dniami i nocami. Mieliśmy tylko trzy tygodnie na próby. Muzyczny spektakl śpiewany na głosy... To była orka, ale wiedzieliśmy, że warto. Premiera w sylwestra 1982 roku. W pierwszej części śpiewaliśmy takie w sumie wesołe pieśni patriotyczne, ale w drugiej części... To było genialne! W drugiej części tłem akcji była żelazna kurtyna, taka prawdziwa kurtyna przeciwpożarowa. Przed tą ciężką kurtyną stał stół, przy którym zasiadały wdowy, matki, samotne żony, córki. Ich mężczyźni poszli walczyć o wolność. Żałoba. Wszystkie kobiety ubrane na czarno. Publiczność... wszyscy płakali.



Śpiewnik domowy – obok mnie Ryszard Łabędź fot. Cezary Marek Langda

– **Rozumieliście się z widzami...**

– Pamiętam, jak Agnieszka Fatyga – odkryta przez Hanuszkiewicza – śpiewała *Znasz li ten kraj*... A może to śpiewała Anka Chodakowska – już nie pamiętam. Ten śpiew robił tak piorunujące wrażenie, ale tak piorunujące... Ludzie nie mogli powstrzymać łez... Tego się nie dało ogarnąć. Gdy normalnie do Teatru Narodowego wchodziło, powiedzmy, sześćset osób, to na *Śpiewnik domowy* przychodziło osiemset–tysiąc! Ludzie niemal wisieli na żyrandolach... To było coś niewiarygodnego. A potem, kiedy Hanuszkiewicza już wywalili i dalej *Śpiewnik domowy* był w repertuarze, zresztą oblegany, to nowa dyrekcja – Jerzy Krasowski i Krystyna Skuszanka – musiała to grać, bo nie było wyjścia. Jeszcze sami żadnego przedstawienia nie zrobili.

– **W końcu jednak Krasowski i Skuszanka przygotowali coś swojego...**

– Po trzech chyba miesiącach Skuszanka zrobiła przedstawienie – to był *Zwolon* Norwida. Podobno sam Norwid się do tego tekstu nie przyznawał. Okropne! Strasznie nachalnie patriotyczne, ale takie w zupełnie opacznym stylu. Dużo patosu... No, okropne. W tym czasie zaczął się bojkot Teatru Narodowego i takich ludzi jak Krasowski i Skuszanka. Na tego *Zwolona* nikt nie przychodził. Zdarzało się, że na przedstawieniu było piętnaście osób! Sześćset miejsc na widowni i nagle jest tylko piętnaście osób... Ale kazali grać. Poniżej piętnastu osób można było odwołać, ale wtedy kazano bileterkom siadać na widowni, i graliśmy.

– **Granie dla takiej garstki to bezsens.**

– Tak, to był kompletny absurd. Gdy na tak dużej widowni jest tak mało widzów, ma się

wrażenie, że tam nie ma absolutnie nikogo, że gramy do pustych krzeseł. Zupełnie bez sensu. Teatr ma sens tylko wtedy, kiedy jest widz. Jak go nie ma, to jest jakaś paranoja kompletna. No absurd! „Gotowaliśmy” się strasznie, bo to było bez sensu. Jak aktor się zaczyna prywatnie śmiać na scenie, to znaczy, że się zgotował albo ugotował. Takich, którzy się łatwo gotują, nazywamy „czajnikami”. To taki nasz slang.



Zwolon C.K. Norwida. Ja jako Pacholeę

fot. Cezary Marek Langda

– **Ale przecież ciągle był w repertuarze *Śpiewnik domowy*.**

– No i jednego dnia graliśmy tego nieszczęsnego *Zwolona*, w którym na scenie występowało trzydzieści osób, a piętnaście było na widowni, a następnego *Śpiewnik domowy* i... dzikie tłumy. Pamiętam jeszcze, że gdy na koniec wychodziliśmy się kłaniać, to ludzie rzucali nam na scenę kwiaty. Zazwyczaj takie małe bukietki. Była wiosna... Konwalie, stokrotki. Ludzie trzymali je podczas spektaklu w wodzie, żeby nie więdły. Potem, gdy na koniec rzucali w nas tymi bukietkami, to kropelki wody rozpryskiwały się w powietrzu i w świetle reflektorów tworzyły tęczę. Ta jedność widzów z aktorami była tak... niepowtarzalna, niewiarygodna. To jest nie do opisania. Tego się nie da opowiedzieć. Nigdy wcześniej ani później czegoś takiego nie przeżyłem. Nie było żadnej bariery między nami. Mogłem wtedy zejść ze sceny i przytulić się do ludzi. Oni podawali nam ręce... Ta jedność była niewiarygodna.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 7

POKOJÓWKI I PANI... ROMA

– **Co się działo po odejściu Hanuszkiewicza?**

– Najpierw była premiera i ogromny sukces *Śpiewnika domowego*, a potem exodus aktorów z Narodowego do innych teatrów warszawskich. Ja też próbowałem znaleźć sobie jakieś nowe miejsce, ale to nie było takie proste, bo w teatrach, które mnie interesowały, miejsc nie było. Musiałem zostać tam, gdzie byłem. Uczciwie przyznam, że Krasowski i Skuszancka bardzo mnie doceniali.

– **To pewnie oznacza, że dostałeś nową, ciekawą rolę...**

– Tak, dostałem jedną z trzech głównych ról w bardzo ciekawym przedsięwzięciu. To były *Pokojówki* Jeana Geneta w Teatrze Małym w reżyserii Waldemara Matuszewskiego. On miał taką koncepcję, żeby role pokojówek, tak jak zresztą Genet planował, grali mężczyźni. Zostałem obsadzony w roli Claire, Olek Kalinowski grał Solange, a Panią grała wielka aktorka, dama pod każdym względem – Ewa Krasnodębska. Nie miałem specjalnych oporów, tym bardziej że nie mieliśmy grać gejów czy facetów lubiących się przebierać w damskie ciuchy. To była sztuka o upokorzeniu. To upokorzenie polegało na tym, że Pani traktowała mężczyzn jak kobiety, jak tytułowe pokojówki. Oni mogli albo się poddać, zgodzić na takie traktowanie, albo... zabić Panią. Zaczynał się niezwykle seans. Ponieważ Pani ubliżyć ani uderzyć nie można, więc jedna z pokojówek (granych przez mężczyzn), czyli Claire przebierała się za Panią i wtedy ta druga mogła się na Pani wyżywać.

– **Ciekawe wyzwanie aktorskie.**

– Bardzo. Teatr Mały to była tzw. patelnia, to znaczy, że scena była z trzech stron otoczona widownią. Sztuka zaczynała się od tego, że po schodach schodziła kobieta. To ja grałem tę kobietę. Stałem na dwunastocentymetrowych szpilkach, w długiej sukni, boa, peruka,

w ręku wachlarz, pomalowane paznokcie... Idea była taka, żeby widz był przekonany, że ta kobieta to właśnie Pani. Majestatycznie schodzę po schodach, a Solange wrzuca Pani, jaka jest obrzydliwa i jak jej nienawidzi. W pewnym momencie przekracza granice i uderza Claire, więc ona nie chce się już dalej bawić, zrywa perukę, zmazuje makijaż, zrywa sztuczne rzęsy itd. To się dzieje na oczach widowni, która nagle widzi, że Pani to jest facet. O to nam chodziło i to się udało.

– **Publiczność to kupiła?**

– Tak!!! To było bardzo kontrowersyjne, ale ciekawe. Teatr Narodowy, którego filią był Teatr Mały, miał złą sławę, był bojkotowany, tam się nie chodziło. Mimo to mieliśmy nadzieję, że na taką „inną” sztukę ludzie będą jednak przychodzić. I rzeczywiście tak się stało. Odbyła się pierwsza próba generalna z publicznością. Tłumy ludzi.



– **Nie miałeś tremy?**

– Ja zawsze mam trewę, ale posłuchaj. Ćwiczyłem, uczyłem się chodzić na tych szpilkach, zresztą zupełnie nie rozumiem kobiet, bo jak można na czymś takim chodzić, to jest chore... Na szczęście miałem przyjaciółkę, która była dwustuprocentową kobietą. Tina Winnicka. Przyjaźniliśmy się, od kiedy zagrała moją matkę w *Panu Tadeuszu*. To ona jest na tym zdjęciu. Obserwowałem ją, jak chodzi, jak się porusza. Bardzo chciałem wiarygodnie zagrać tę postać. Uczyłem się ruchów, gestów, trzymania wachlarza.

Gdy przyszło co do czego, gdy stanąłem za kulisami, gdy za chwilę miały się zapalić światła i miałem zejść po tych schodach, pomyślałem: „Boże, nie zrobię tego!”. Ja, profesjonalny aktor, nagle zacząłem się wstydzić. Po prostu uruchomił się we mnie jakiś strach potworny, że jak ja wyglądam, co ja tu robię, że to jest jakieś niemęskie... I wtedy, żeby dodać sobie animuszu, pierwszy raz w życiu, przed wejściem na scenę wypłem lampkę koniaku. Z nerwów nie jadłem cały dzień, więc ten koniak naprawdę zadziałał...

To wcale nie było śmieszne! Stanąłem na szczycie schodów, zapaliły się reflektory, ja na tych szpilkach i nagle schody zaczęły mi falować. Wszystko się wydłużyło... I ta „patelnia”, i widownia, i schody... Do sceny zrobiło się jakoś potwornie daleko. Myślałem, że umrę bo... po prostu byłem pijany.



**Teatr
MAŁY**

Jean Genet
POKOJÓWKI

„LES BONNES”

przekład: JAN BŁOŃSKI

C z ę ś ć I

Pani	— EWA KRASNODEBSKA
Claire	— ALEKSANDRA ZAWIERUSZANKA
Solange	— MARIA GŁOWACKA

C z ę ś ć II

Pani	— EWA KRASNODEBSKA
Claire	— ARTUR BARCIŚ
Solange	— ALEKSANDER KALINOWSKI

Reżyseria

WALDEMAR MATUSZEWSKI

Scenografia

JERZY RUDZKI

Wybór i opracowanie muzyczne

ANDRZEJ ZAJĄCZKOWSKI

Kompozycja ruchu

WITOLD GRUCA

Premiera w grudniu 1983 r.

TEATR MAŁY • SCENA TEATRU NARODOWEGO

Program *Pokojówek* fot. archiwum Autora

– **Mam nadzieję, że nic sobie nie zrobiliś.**

– Nie, nic mi się nie stało, nie spadłem z tych schodów, ale naprawdę było ciężko.

Doszedłem do siebie dopiero wtedy, gdy już jako Claire siadałem przy toalecie, zdejmowałem perukę i w złości, zmywając makijaż, biłem się po twarzy. To mnie ocuciło i zagraliśmy tę próbę generalną do końca. Publiczność była zachwycona. Premiera bardzo się udała, ale sztuka jakimś bardzo wielkim wydarzeniem nie była, bo jednak te względy towarzysko-bojkotowe zaważyły. Ale recenzje były przyzwoite.



– **Nic nie próbowałeś zmienić? Taki bojkot podcinał wam, aktorom, skrzydła. Przecież zabierał wam publiczność...**

– Nic nie można było zmienić. Rozumiałem ten bojkot. W międzyczasie ciągle próbowałem dostać się do innego teatru. Najbardziej chciałem do Powszechnego albo Ateneum. Do Powszechnego miałem pewne nadzieje, bo dyrektor Hübner mnie przyjął i nawet obiecał, że jeśli znajdzie dla mnie jakąś rolę, to mnie zaangażuje. Miałem rozmowę z Jerzym Grzegorzewskim, który też mówił, że chciałby, żebym był u niego w Studio, ale nie miał na razie nic mi do zaproponowania. W Ateneum nawet nie przeszedłem przez sekretariat. Tam był zamknięty zespół i już. Poza tym Warmiński przyjął dużo osób z Narodowego. Tam poszli Hanuszkiewicz, Kucówna, Machalica, Krzys Kolberger... Ania Gornostaj... Już nie pamiętam, ale sporo osób.

– **Po 13 grudnia działo się coś u ciebie poza teatrem?**

– Dwa miesiące po ogłoszeniu stanu wojennego zadzwonił Janusz Dymek z informacją, że jednak pozwolą nam dokończyć film. Mówię o *Odlocie*.

– **Chyba o *Kajtku*?**

– Nie. *Kajtek* to był tytuł roboczy. Już w połowie zdjęć ustaliliśmy, że serial będzie miał tytuł *Odlot*. Bardzo trafny, moim zdaniem. Władze zgodziły się, żebyśmy skończyli, ale pod warunkiem, że zmienimy scenariusz i przeniesiemy całą akcję, żeby to się działo przed 1980 rokiem i żeby nie dotyczyło w żaden sposób Sierpnia, strajków i polityki. To był cios między oczy, bo to była główna idea filmu. Ale z drugiej strony nie mieliśmy pieniędzy, a Janusz Dymek chciał ten film skończyć. Ja też. Nakręciliśmy przecież mnóstwo dobrego materiału... Podjęliśmy decyzję, że dokręcimy jeszcze parę scen i jakoś może uda się zmontować taką obyczajową historię. *Odlot* był potem pokazywany o 18.00 w piątki, w jakimś programie dla młodzieży.

– **Tylko to?**

– W żadnych innych filmach nie grałem. Trwał bojkot. Zagrałem tylko maleńki epizod w *Wiernej rzece* Tadeusza Chmielewskiego, bo ten film nie był bojkotowany. Gdy bojkot się skończył, posypały się propozycje. Zagrałem w serialach *Lato leśnych ludzi* Ślesickiego, *Pan na Żulawach* Szyszki, Janusz Dymek dał mi fajną rolę w *Siedmiu życzeniach*, no i poznałem Krzysztofa Kieślowskiego.

– **No właśnie. Jak cię odnalazł?**

– Zbieg okoliczności. Przypadek. Pociąg mu się spóźniał i, czekając, zobaczył mnie na dworcowym telewizorze właśnie w tym *Odlocie*. Zadzwonił do swojej asystentki „Grzanki” i kazał jej mnie odnaleźć. Nie wiedział nawet, jak ja się nazywam.

Grałem *Pokojówki*. Byłem w garderobie Teatru Małego, kiedy zadzwonił telefon. Wtedy przecież nie było telefonów komórkowych, a nikt nie znał mojego numeru... Ja wtedy mieszkałem... tak, wtedy mieszkałem już na Wawelskiej. Wynajmowałem tam mieszkanie, ale to jest kolejny temat na książkę: pani Roma...

– **Poczekaj, po kolei, żeby za bardzo tych wątków nie mieszać...**

– Ale to ważne. Zostałem na lodzie. Najpierw mieszkałem u cioci i wujka, ale gorączkowo szukałem jakiegoś mieszkania. Skończyliśmy *Odlot*, dostałem pieniądze. One się bardzo szybko dewalutowały, ale mogłem jednak za to wynająć mieszkanie. Szukałem takiego, które nie byłoby zbyt drogie, i pojawiła się nadzieja, że przyjaciółka Janusza Dymka będzie coś miała. Jej rodzinie po wojnie zawłaszczono duże mieszkanie. Oni powoli tę swoją własność odzyskiwali, to mieszkanie zostało podzielone na kilka mniejszych i jedno z nich to był pokój z kuchnią z osobnym wejściem... Pani Roma mi obiecała, że jeśli lokatorzy się wyprowadzą, to

ja będę mógł je wynająć. Tam mieszkała jakaś rodzina, która straszliwie to mieszkanie zdemolowała. Ustaliliśmy, że ja przez rok będę płacił tylko czynsz, a w zamian zrobię remont tego mieszkania. I tak się stało. Miałem wreszcie samodzielne mieszkanie i największy prezent od losu: panią Romę.

Pani Roma nie miała dzieci i traktowała mnie jak syna. Mój syn Franek mówił do niej „babcia Romcia”. Stała się jedną z najbliższych mi osób, jedną z najwspanialszych, jakie w życiu spotkałem. Była niezwykle mądrą kobietą. Wsłuchiwałem się w każde jej słowo. Jej ciotką była słynna na cały świat malarka Tamara Łempicka. Pani Roma mówiła o niej „ciotka-wariatka”. Zresztą, cała rodzina pani Romy była niezwykle, książkę by można o nich napisać, naprawdę.

– **Przyznaję, to było ciekawe i ważne, ale ja czekam na opowieść o Kieślowskim.**

– Nie miałem w tym mieszkaniu telefonu i „Grzanka” odnalazła mnie w teatrze.

Zorientowała się, że gram akurat przedstawienie i tego dnia zadzwoniła do garderoby z informacją, że pan Krzysztof Kieślowski chciałby się ze mną spotkać, bo ma dla mnie propozycję. Dobrze, że siedziałem, bo chyba bym się przewrócił. Dla mnie Kieślowski to był ktoś... Pamiętałem go ze szkoły, spotkania z nim. Takich ludzi nie było wtedy. On mówił to, co myślał. Wszyscy się bali, a on nie. Mówił to, co myślał... W filmach też... Dlatego większość jego filmów leżała na półkach.

– **Spotkałeś więc na gruncie zawodowym człowieka, którego podziwiałeś. Miałeś z nim pracować.**

– Spotkanie odbyło się w restauracji „Sejmowa”. Takie rzeczy się zapamiętuje... Od razu przeszliśmy na „ty”. Nie chciał, żebym mu mówił per „pan”. Był jeszcze z nami Jacek Petrycki, który miał być operatorem tego filmu. Krzysztof zapytał, czy chcę grać w jego filmie i dał mi scenariusz. Powiedziałem, że mogę nie czytać scenariusza, bo w ciemno się zgadzam, ale Krzysztof powiedział, że nie, że dają mi czas. „Przeczytaj scenariusz, tutaj masz telefon, zadzwoń”. Scenariusz był świetny. Miał tytuł *Szczęśliwy koniec*. Potem zmienili na *Bez końca*. Miałem grać jedną z głównych postaci, oś konfliktu.



Ta scena nie weszła do filmu (*Szczęśliwy koniec*) fot. Renata Pajchel

– **Miałeś dobrą passę.**

– To była seria takich zdarzeń. Kończyłem zdjęcia do *Bez końca* i nagle zadzwoniła do mnie sekretarka dyrektora Warmińskiego z informacją, że dyrektor Ateneum chciałby mi zaproponować etat.

– **Tam gdzie nie mogłeś dotąd przejść przez sekretariat? Sami do ciebie zadzwonili?**

– Tak. Okazało się, że Michał Bajor, który był wtedy jednym z głównych aktorów Ateneum, dostał kontrakt na *tournée* po Stanach Zjednoczonych i trzeba było znaleźć kogoś, kto wejdzie w jego role, kto go zastąpi po prostu. Wtedy Ania Gornostaj – myśmy się wtedy bardzo przyjaźnili – odpowiedziała Warmińskiemu, że jest ktoś taki w Teatrze Narodowym. Warmiński zapytał Hanuszkiewicza i Zosi Kucówny, czy warto, a oni potwierdzili. No i ta sama sekretarka, która mnie kiedyś odesłała z kwitkiem, zadzwoniła, że dyrektor Warmiński chce się ze mną spotkać.

– **Tak spełniają się marzenia...**

– Poczekaj... To był jakiś kwiecień–maj, jakoś tak. W pierwszych słowach Warmiński zapytał mnie, czy mam podpisaną umowę na pełny etat z Teatrem Narodowym. I w tym momencie uświadomiłem sobie, że... mam. Żadnego wyboru wtedy nie miałem, więc podpisałem umowę, którą mi podsunęli Krasowscy. Zrozumiałem, że jeśli powiem Warmińskiemu prawdę, to rozmowa od razu się zakończy. Moje marzenie o byciu aktorem Teatru Ateneum natychmiast legnie w gruzach. W ułamku sekundy przeanalizowałem całą sytuację: skoro jest kwiecień, to gdy złożę wypowiedzenie z trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia, od nowego sezonu, czyli od września, będę wolny. I skłamałem, że nie mam

podpisanej umowy. Warmiński powiedział: „To dobrze, bo chciałbym, żeby pan jak najszybciej zaczął próby do *Trans-Atlantyku* Gombrowicza”. Nie miałem żadnych prób w Narodowym, więc powiedziałem, że oczywiście, nie ma problemu, mogę być na każdej próbie.

– **To ładnie brzmi w teorii, ale w życiu bywa różnie...**

– No właśnie. Gdy poszedłem do Narodowego z prośbą o rozwiązanie umowy, okazało się, że jest to niemożliwe. Umowa, której oczywiście nie przeczytałem do końca, była tak skonstruowana, że na dole, drobnym druczkiem, było napisane, że jeśli aktor zamierza w trakcie sezonu ją rozwiązać, to musi to zastrzec w tej umowie. To jakieś kuriozum, ale tak było. Nagle okazało się, że nie mogę rozwiązać tej umowy. Oczywiście była straaaszna awantura. Krasowski wrzeszczał na mnie, że to jest manifestacja polityczna, że on mi nieba przychyła, a ja go zdradzam, że ze strony Ateneum to jest podkupywanie aktorów itd.

Nie wiedziałem, co robić. Według prawa pracy mogłem odejść dopiero od stycznia. Poszedłem do dyrektora Warmińskiego ponownie. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to powiedzieć prawdę. Opowiedziałem mu o tym, jak bardzo chciałem być aktorem Teatru Ateneum, o tym, że nie dostałem się przez sekretariat, że gdy w końcu zadzwoniła sekretarka, to... Powiedziałem, że gdy zapytał mnie o tę umowę z Narodowym, to uznałem, że łatwo z tego wybrnę. Przeprosiłem, że skłamałem, ale po prostu nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że moje marzenie nagle się rozplynie.

–**I co on na to?**

–Warmiński miał pseudonim „Chińczyk”, bo nikt nigdy nie wiedział, o czym on tak naprawdę myśli i co czuje. Zawsze tylko tak delikatnie się uśmiechał. Właściwie myślałem, że to będzie koniec. Byłem pewien, że Warmiński powie: „Proszę pana, pan mnie okłamał. Do widzenia”. I nagle on mówi: „No dobrze, rozumiem pana, pewnie sam bym się tak zachował w takiej sytuacji, nie ma problemu, do stycznia będzie pan na etacie w Narodowym, u nas będzie pan grał i próbował gościnnie, a od stycznia podpiszemy umowę. Powiedziałem jeszcze, że zależy mi, żebym mógł dalej grać w *Pokojówkach*, a Warmiński powiedział, że to się da dopasować. Od tej chwili zaczęła się moja przygoda z Teatrem Ateneum, która trwa do dziś.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 8

BEBABA

– **Może teraz porozmawiamy o twoim życiu prywatnym?**

– Musimy? OK, mogę opowiedzieć, jak poznałem moją żonę. Trwał bojkot. Trwał bardzo

długo i tak naprawdę, jeśli chodzi o film, to młodzi aktorzy najbardziej w tym okresie dostali w d... Ja też. Zagrałem w *Znachorze*, w *Odlocie*, a potem wszystko się rozleciało. To, co miało być moją trampoliną, przestało być ważne, bo w basenie nie było wody. Było jakieś błoto, ale nikt przyzwoity nie chciał się w tym błocie babrać. Ja oczywiście uczestniczyłem w bojkocie. Dostawałem jakieś tam propozycje, ale odmawiałem, bo uważałem, podobnie jak większość moich kolegów, że tak trzeba. Pod koniec tego okresu dostałem propozycję roli od reżysera Sylwestra Szyszki, który robił obyczajowy serial pt. *Pan na Żuławach*. Ponieważ był bojkot, to odmówiłem.

– **Ale nie ze względu na treści, ideologie, tylko dlatego, że byłeś lojalny i jak bojkot, to bojkot?**

– Tak. Były plotki, że bojkot już ma się skończyć. Ja już nie pamiętam, jak to było, chyba jakiś biskup miał ogłosić, że czas już zakończyć ten bojkot. W każdym razie odmówiłem, a Szyszko zapytał, czy jeśli bojkot się skończy, to zagram. Powiedziałem, że jeśli tak się stanie, to oczywiście. Bardzo już chciałem grać. Oni musieli zacząć zdjęcia, ale moja rola nie została obsadzona i jak bojkot się skończył, to Szyszko zadzwonił ponownie. „Panie Arturze, to jak? Słowo się rzekło”. Poprosiłem o parę dni do namysłu. Duśka działała w podziemiu, przez nią zapytałem, czy mogę przyjąć tę rolę, i niedługo potem dostałem odpowiedź, że jeżeli uważam, że ta rola może być dla mnie ważna, to powinienem grać.

Właśnie na planie tego serialu poznałem swoją przyszłą żonę. Beba była wtedy asystentką montażystki. Jeździła na plan, żeby na miejscu, w Steganie Gdańskiej, przygotowywać materiał do montażu. Wtedy filmy były kręcone na taśmie celuloidowej, którą trzeba było przed montażem ciąć... No i Beba to wszystko wykonywała, takie techniczne prace....



– **I zaiskrzyło?**

– Poczekaj. Jakoś na początku nie zwróciłem na nią uwagi. Byłem wtedy sam i prawdę mówiąc, rozglądałem się za jakąś fajną dziewczyną, ale wtedy jakoś Beaty nie zauważyłem. Ona mi teraz wypomina, że ją nawet wyrzuciłem z łóżka.

– **????**

– Przyjechałem na plan i okazało się, że jestem zakwaterowany nie w głównym hotelu, tylko gdzieś w jakimś domku letniskowym. Po zdjęciach zawieźli mnie do tego domku, a tam... drzwi otwarte, wybite okno, w pościeli ktoś ewidentnie niedawno uprawiał seks. Wróciłem do produkcji i powiedziałem, że nie będę tam spał, bo niby dlaczego akurat ja miałbym spać w takich warunkach, skoro wszyscy mieszkają w bardzo fajnym ośrodku. Przypadkiem zauważyłem, że nawet asystentka montażystki mieszka w luksusach, a ja mam spać w jakimś obesranym domku z dala od ekipy. Tym bardziej że u Patrycji Bukowskiej, która była drugim reżyserem, widziałem dwupokojowy apartament, gdzie w jednym pokoju były dwa łóżka i w drugim dwa łóżka. W jednym pokoju mieszkała Patrycja, a w drugim ta asystentka. Powiedziałem: „Będzie tak. W jednym pokoju na jednym łóżku będzie spała Patrycja, a na drugim w tym samym pokoju asystentka. Ja biorę drugi pokój”. Tą asystentką była oczywiście Beba. No i teraz opowiada, że ją wyrzuciłem z łóżka.

– **To kiedy wreszcie zauważyłeś Bebę?**

– Następnego dnia, po zdjęciach, wracaliśmy do Warszawy. Po drodze był przystanek, taka przerwa w podróży. Wtedy zobaczyłem, jak Beba schodzi po schodach tego autokaru i nagle mnie olśniło. Zobaczyłem zjawisko. Anioła! Momentalnie się zakochałem. Momentalnie!



Anioł fot. archiwum Autora

– **I co zrobileś?**

– Gdy autokar ruszył, przysiadłem się do niej i od razu się oświadczyłem. Zapytałem, czy chce zostać moją żoną.

– **A co ona na to?**

– Powiedziała, że bardzo chętnie.

– **Żartujesz!**

– Oczywiście, nie traktowała tego, co powiedziałem, poważnie, ale bardzo fajnie nam się rozmawiało. Beba mówiła: „To kiedy się pobierzemy?”, a ja: „No wiesz, kiedy będziemy chcieli, ja nie mówię, że jutro, ale jestem absolutnie zdecydowany”. Na to Beba: „A jak się pobierzemy, to gdzie będziemy mieszkać?”. Ja, że mam mieszkanie i będziemy mogli mieszkać u mnie. „A to jest twoje mieszkanie?” Ja, że wynajmuję. „Aha, wynajmujesz... I co jeszcze?” „Zabiorę cię w podróż poślubną do Hiszpanii”. „Oooo, do Hiszpanii???. . . A czym do tej Hiszpanii pojedziemy?” „Samochodem. Przez całą Europę”. „A masz samochód?” „Jeszcze nie mam, ale do podróży poślubnej będę miał”.



– **Dosyć abstrakcyjna ta rozmowa...**

– „A dlaczego do Hiszpanii?” Powiedziałem, że mam tam przyjaciół. Są bardzo zamożni i na pewno chętnie nas ugoszczą. Wszystko, co mówiłem, było prawdą. Siostra pani Romy, Marysia, była żoną wybitnego gitarzysty hiszpańskiego Narciso Yepesa. Jak Marysia była w Polsce, to mnie zaprosiła: „Gdybyś chciał przyjechać kiedyś do Hiszpanii, to zapraszamy. Tylko musisz sam dojechać”.

Brzmiało to mało wiarygodnie, ale rozmawiało nam się bardzo przyjemnie. Do momentu, gdy na przedmieściach Warszawy postanowiłem wybać, jaki typ mężczyzny moja przyszła żona preferuje. Zapytałem, który znany aktor najbardziej jej się podoba. Powiedziała, że Al Pacino. Szczeka mi opadła. Ja do Ala Pacino nie byłem w żaden sposób podobny, wręcz przeciwnie, można powiedzieć. Wszystko mi opadło, bo skoro Al Pacino, to raczej nie jestem spełnieniem jej marzeń.

– **Ale przecież przez Ala Pacino nie zrezygnowałeś.**

– Wymieniliśmy telefony. Ja dałem jej do teatru i do pani Romy, a ona do domu... Nie, chyba do sąsiadki... Już nie pamiętam... Nie dzwoniłem, no bo co, jak Al Pacino... Ale cały czas chodziła mi po głowie ta przeurocza rozmowa, w końcu nie wytrzymałem i zadzwoniłem z pytaniem, czy mnie pamięta. Oczywiście pamiętała. Umówiliśmy się na randkę. Zaprosiłem ją do Narodowego na *Krakowiaków i Górali*. Tego dnia spektakl był wyjątkowo zabawny, bo jedna z koleżanek w tańcu się przewróciła, a za nią cały korowód... Kupa śmiechu. Wcześniej też było ciekawie, bo umówiliśmy się pod teatrem i Beba... nie przyszła. Padał deszcz, a ja czekałem, czekałem i czekałem. I tak musiałem iść do teatru, więc... czekałem. Przyszła! Spóźniła się 40 minut. Okazało się, że nie wiedziała, w co się ma ubrać...

– **Warto było czekać. Przecież chciałeś z nią spędzić resztę życia.**

– Pobraliśmy się dwa lata później: 7 czerwca 1986 roku. Ach, co to był za ślub! – można powiedzieć. Beba zapomniała pomalować paznokcie u jednej ręki. Kupiła sobie specjalny biustonosz na ślub, a założyła zupełnie inny. Było niezwykle, niezwykle wzruszająco. Ceremonia odbywała się w kościele Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście. Beba tam była chrzczona, tam też brali ślub jej rodzice... I tam później był chrzczony nasz syn Franek... Agnieszka Fatyga przepięknie zaśpiewała *Ave Maria*... Miałem straszną tremę. Beba w takich sytuacjach, gdy ja się rozsypuję, jest bardzo dzielna. Podczas ślubu trzymała mnie pod stołą za rękę i szeptała: „Przestań się tak trząść, co się tak tremujesz?”. Ale sama też była podekscytowana. Na szczęście wszystko udało się cudownie.







– **A potem podróż poślubna...**

– Obiecałem jej w tym autobusie podróż poślubną do Hiszpanii i oczywiście dotrzymałem słowa... rok po ślubie. Moja przyjaciółka, też Beata, która mieszkała w Stuttgarcie, załatwiła mi pracę w knajpie. Na początku pracowałem na zmywaku, ale szybko właściciel pubu zorientował się, że potrafię gotować i awansowałem na kuchcika. Pracowałem trzy tygodnie i to, co zarobiłem, wystarczyło na podróż naszym „maluchem” do Hiszpanii i z powrotem.

– **„Maluchem” przez całą Europę?!**

– To było dosyć ryzykowne. Bez klimatyzacji. Przełom lipca i sierpnia. Do tego ktoś mi powiedział, że ponieważ „maluch” nie ma systemu chłodzenia silnika, to trzeba zrobić tak, żeby kłapa silnika była cały czas uchylona. Niedawno się dowiedziałem, że to był błąd, bo jak się uchyla tę kłapę, to „maluch” się jeszcze bardziej grzeje. Pewnie dlatego on mi ciągle gaśł. Pamiętam, jak kiedyś zgaśł mi na środku wielkiej arterii w centrum Walencji. Za mną sto samochodów, trzy pasy ruchu, zapala się zielone światło ja ruszam... a on gaśnie. Hiszpanie pomogli mi przepchać tego „malucha” na wysepkę...



„Maluchem” do Hiszpanii fot. archiwum Autora

– **Ale udało się dojechać?**

– Tak, tylko zanim dojechaliliśmy do tej Hiszpanii, mieliśmy mnóstwo przygód, a zaczęło się od tego, że jeszcze w Niemczech... zjeżdżamy z jakiejś górki, naciskam na hamulec... i nic!!!

Serce uciekło mi gdzieś do głowy. Nacisnąłem drugi raz i znowu nic. Nacisnąłem trzeci raz i... zaskoczył. Mój problem polega na tym, że ja nie wiem, dlaczego samochód jeździ. Nie wiem i kompletnie mnie to nie interesuje. Samochód ma jechać i już. Ale żeby go naprawić... Umiałem tylko wymienić koło i świece. Przed nami były Alpy, przepaście, kręte drogi, a te hamulce niepewne.

Podjechaliśmy na stację obsługi Fiata. Łamaną niemczyzną powiedziałem, o co mi chodzi. Właściciel pokiwał głową i zawołał: „Hans, sprawdź”. Wszedł Hans, który miał dwa metry dwadzieścia centymetrów wzrostu, a ważył z dwieście kilo. I on miał wsiąść do tego naszego „malucha” zapakowanego po dach walizkami. Przecież jechaliśmy na sześć tygodni. Ten Hans stał i nie wiedział, jak ma wejść do tego samochodu. W końcu jakoś się zmieścił. Kolana miał przy uszach. Jeździł po całym placu, hamował najgwałtowniej, jak potrafił, i nic. Wszystko działało, mogłem jechać.

– Jazda z przygodami...

– Przejechaliśmy całą Francję. Było bardzo przyjemnie i... gorąco. Kupiliśmy butelkę wody i myśleliśmy, że nas oszukali, bo była bez gazu. Wtedy w Polsce woda w butelkach była tylko gazowana, a jak bez gazu, to znaczy, że butelka nieszczelna czy coś. Mieliśmy mapę przejść granicznych, którą dostaliśmy w ambasadzie. Na każdy kraj musieliśmy mieć wizę. Przejść granicznych było sporo, ale nam z demoludów wolno było przekraczać tylko w tych zaznaczonych. Uznałem, że skoro i tak nam na granicach nikt niczego nie sprawdza, najwyżej stoi jakiś facet i macha ręką, to nie ma co nadrabiać dwustu kilometrów i granicę francusko-hiszpańską przekroczyliśmy na najbliższym przejściu.

Dojechaliśmy, jakiś facet w garnku na głowie macha „jechać”. Jedziemy, a on nagle krzyczy, że mamy zjechać na bok i się zatrzymać. Okazało się, że tędy nie możemy, że musimy wracać, bo tu nie wolno. „A dlaczego nie wolno?” – postawiłem się. On mówi, że nam nie wolno tędy, bo jesteśmy z krajów demokracji ludowej. Zapytałem, czy on wie, co to jest dyskryminacja. Nie uśmiechało mi się wracać dwieście kilometrów przez Pireneje. Zaparłem się, że nie pojedę. Przyszedł jakiś tłumacz i, widząc moją determinację, zapytał, jaki ja mam zawód. Powiedziałem, że jestem aktorem. Wtedy on zaczął się strasznie śmiać: „Że co?! Że ty aktorem?!”. W tym momencie moja żona przypomniała sobie, że jak byliśmy w Niemczech, to w jakiejś gazecie telewizyjnej była zapowiedź *Znachora*. Było tam moje zdjęcie i to całkiem duże. Wyciągnęła to pismo i powiedziała: „Proszę bardzo! On czy nie on?”. Jak ten facet zobaczył gazetę z moim zdjęciem, zaczął mnie bardzo przeproszać i oczywiście mogliśmy pojechać dalej. Udało się nam wyjątkowo. Przecież oni mogli nas aresztować!

– Odpoczęliście chociaż w tej Hiszpanii?

– Spędziliśmy wakacje w takim luksusie, że czułem się jak książę. Willa była przepiękna. Nazywała się Cantarella, jak struna od gitary. Odpoczywaliśmy w wiosce na brzegu morza, gdzie wszystko było do naszej dyspozycji. Kelnerzy przychodzili na plażę i pytali, czy czegoś sobie życzymy. Raj. Wypływaliśmy w morze motorówką, w której były białe puszyste dywaniki... Pełen luksus. Marysia robiła wszystko, żeby nam było najlepiej na świecie. I było. Pamiętam, że przy jakiejś okazji znajomy tych naszych dobroczyńców zapytał, co jest w Polsce dla ludzi największym problemem. I ja z głupia frant odpowiedziałem, że brak papieru toaletowego. Mało się nie uduślił ze śmiechu. Myślał, że żartuję.

– W końcu bezpiecznie, po odpoczynku w luksusach, wróciliście do Polski...

– Średnio bezpiecznie, bo wracając, chcieliśmy zobaczyć zamek w Carcassonne, a potem Awinion, gdzie zaplanowaliśmy nocleg. Wyjeżdżamy z tego Carcassonne, pamiętam, była godz. 16.00. W ciągu pięciu minut zrobiła się noc. Jechaliśmy boczną drogą, żeby nie płacić za autostrady. Nagle spadła ściana wody. Ciemno i oberwanie chmury. Droga prowadziła wzdłuż

rzeki i w pewnym momencie nie można było rozróżnić, gdzie jest rzeka, a gdzie droga. Woda była wszędzie. Uczepiłem się jakiegoś tira. Trzymałem się jego czerwonych lampek, bo wiedziałem, że ten tir pewnie lepiej wie, gdzie jest droga. Tylko że ten tir jechał bardzo szybko. Przeżyłem najstraszniejszą podróż w swoim życiu. Jechałem prawie w ciemno. Widziałem tylko czerwone lampki tira i poruszałem się w deszczu z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę „maluchem” przez sto pięćdziesiąt kilometrów! Cudem uszliśmy z życiem.

– **Na szczęście po tych wszystkich przygodach cali dojechaliście do domu. Półtora roku później urodził się Franek.**

– Tak. W lutym 1989 roku przyjechałem na trzy dni do domu, bo miałem przerwę w zdjęciach. Beba wyczekała te trzy dni. Przyjechałem, minął chyba jeden dzień, a potem o pierwszej w nocy zawiozłem ją do szpitala. Blisko domu, na Inflanckiej. Następnego dnia o 10.45 urodził się Franek. Oczywiście byłem potwornie zdenerwowany. Strasznie to przeżyłem. Pierwsza w nocy, zabrali mi żonę, a ja nie wiedziałem, co mam robić: czy mam pójść do domu, czy zostać w tym szpitalu. Nie miałem pojęcia, czy tam trzeba czekać. Czekałem. Miałem nadzieję, że to w miarę szybko pójdzie. Wiedziałem, że poród może trwać długo, ale zdarza się, że trwa krótko. Siedziałem. W pewnym momencie drzwi się uchyliły i pielęgniarka dała mi jej ubrania. Łzy mi w oczach stanęły, bo miałem buty, rajstopy, sukienkę... Tyle mi zostało z mojej żony. Beba w jakimś giele szarym, widząc moją przerażoną minę, wychyliła się przez te drzwi i powiedziała: „Bądź dzielny”.

– **Piękne. To kto tu rodził?**

– Piękne, prawda? Staralem się być dzielny, jak mogłem. Przyjechałem do domu i pierwsze, co zrobiłem, to sobie strzeliłem setkę wódki z tych nerwów. A jeszcze do tego byłem strasznie głodny, bo nic nie jadłem. Skutek był taki, że ja, człowiek wódki praktycznie niepijący, na głodniaka, błyskawicznie się upiłem. Po półgodzinie byłem kompletnie pijany. Była druga w nocy, gdy zacząłem dzwonić do znajomych, że zawiozłem Bebę do szpitala. Niektórzy chcieli od razu do mnie przyjechać, ale nie chciałem i... zasnąłem.

– **A co z rodzącą Bebą?**

– O 7.00 rano obudziła mnie Grażyna, żona Mariana Kociniaka, z awanturą, że ja śpię w domu, a tam Beba rodzi. Że powinienem jechać do szpitala, zanieść jej kawę w termosie, bo podobno kawa jest niezbędna po porodzie, takie babskie jakieś tam... No więc się zwlokłem z łóżka, wsiałem do tego naszego pomarańczowego „malucha” i pojechałem.

Nie wpuszczali na oddział, ale od pielęgniarek dowiedziałem się, że jeszcze nie urodziła. Więc siedziałem na korytarzu i czekałem z tym termosem. Czekałem, czekałem, czekałem, aż zeszła po schodach jakaś pielęgniarka czy położna i zapytała: „Pan Barciś?”. „To ja” – odpowiedziałem. Pani z uśmiechem na ustach powiedziała: „Ma pan syna, może się pan iść upić”. „Nie, nie, już nie muszę” – odpowiedziałem.

Pojechałem do domu bardzo szczęśliwy. Wtedy była epidemia grypy i nikogo nie wpuszczali na oddział, więc nie widziałem swojego syna. Zaraz musiałem jechać na plan do Świnoujścia i strasznie się bałem, że go nie zobaczę przed wyjazdem. Po południu poszedłem pod szpital i Beba pokazała się w oknie razem z Franiem na rękach. Mogę przysiąc, wszędzie mogę powiedzieć pod przysięgą, że wyglądała wtedy jak jakaś święta. Była jasna i miała nad głową aureolę. Dookoła głowy Beby i Frania była taka świetlista poświata. Jeszcze teraz mam to przed oczami...

– **Ale następnego dnia musiałeś pojechać na plan.**

– Tak. Wysprzątałem mieszkanie tak, że lśniło. Zostawiłem mnóstwo karteczek w różnych miejscach: w łóżeczku Franka, w naszej sypialni. Były na nich rozmaite wierszyki. Beba jeszcze po tygodniu je znajdowała. Podniosła jakiś garnek, a tam kolejny liścik. Potem

rozmawialiśmy przez Gdynia-radio, bo byłem już na morzu.
Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 9

ATENEUM I OSTATNI PROM LEJZORKA

– **Rok 1985. Dostałeś wreszcie etat w Teatrze Ateneum.**

– Występowałem w *Trans-Atlantyku* obok samego Jana Świderskiego, później grałem (a właściwie statystkowałem) w *Matce* Gorkiego jakiegoś faceta w kostiumie kosmity. Nagle okazało się, że jestem niepotrzebny, bo Michał Bajor nie wyjechał w końcu do USA. Tak było aż do czasu, kiedy dyrektor Warmiński reżyserował *Wiśniowy sad* Czechowa. Raniewską grała oczywiście Aleksandra Śląska. W obsadzie sama czołówka Ateneum: Kamas, Pietraszak, Wiśniewska, Świderski... Ja dostałem najpierw rolę faceta grającego na flecie w orkiestrze żydowskiej... na balu. Nie miałem ani jednego słowa do powiedzenia. Miałem po prostu grać na flecie... Drugi plan był kompletowany na trzy tygodnie przed premierą... Potem się jeszcze dowiedziałem, że ta nasza orkiestra będzie stała za tiulem. Mój kolega, który był szefem oświetlenia w teatrze i grał innego Żyda, tak mnie pocieszał: „Słuchaj, nie przejmuj się, widziałem projekty dekoracji, my będziemy za tiulem i wcale nie będzie nas widać”. No, ale ja nie byłem szczęśliwy, że mnie nie będzie widać. Chciałem, żeby mnie BYŁO widać!

– **Nie o tym marzyłeś...**

– W Narodowym grałem główne role, a tu nagle statystuję w orkiestrze, i to za tiulem... Ale powiedziałem sobie: „Dobrze, zagram tego flecistę, i to najlepiej, jak się da”. Poprosiłem akustyka, żeby mi przegrał muzykę, którą mieliśmy niby grać, znalazłem partię tego fletu... nawet była jedna solówka... i nauczyłem się jej na pamięć. Dokładnie wiedziałem, w którym momencie flet zaczyna grać, kiedy nie gra itd., itd. Wymyśliłem małą etiudę. Postanowiłem zagrać młodego muzyka, który jest bardzo stremowany, że będzie grał dla takiej szlachcianki jak Raniewska – najpierw się przygotowuje, niecierpliwi, później czeka i gdy przychodzi jego moment... zaczyna grać, a jak kończy, to patrzy, czy ktoś zauważył, jak ładnie zagrał. Nikt oczywiście nie zauważał. Potem czyści sobie flet, poprawia się i czeka na następny moment, w którym będzie mógł zagrać, a nawet mieć tę swoją solówkę. I grał, całym ciałem grał... Tak sobie wymyśliłem tę postać. Sam dla siebie. Wiedziałem, że nikt na to nie zwróci uwagi...

Tymczasem okazało się, że to wszystko zauważyła Śląska, która, jak wiadomo, była żoną Warmińskiego. I ona powiedziała mu, żeby zobaczył, co ja robię. Widocznie mu się spodobało, bo przyszedł do mnie i oświadczył: „Nie będziesz grał w orkiestrze, zagrasz gościa na balu”.

– **Krok naprzód?**

– Awansowałem! Po pierwsze – już nie grałem za tiulem, po drugie – jako gość na balu miałem tańczyć. Został chyba tydzień do premiery, choreografia była ułożona, a ja nie umiałem tego kadryla, którego wszyscy tańczyli. W związku z tym zagrałem gościa na balu, który... nie umie tańczyć. To się okazało upiornie śmieszne. Później wykorzystałem tę swoją umiejętność nietańczenia w *Grubych rybach* w Polonii. Wiadomo, że żeby zagrać, że się nie umie tańczyć, to trzeba sobie z tym dobrze radzić. Oczywiście bardzo szybko nauczyłem się choreografii tego

kadryla właśnie po to, żeby grać, że nie umiem tańczyć. I nagle ten fragment zrobił się bardzo zabawny. Okazało się, że jestem aktorem komediowym.

W.P. ARTUR BACIŚ

ATENEUM

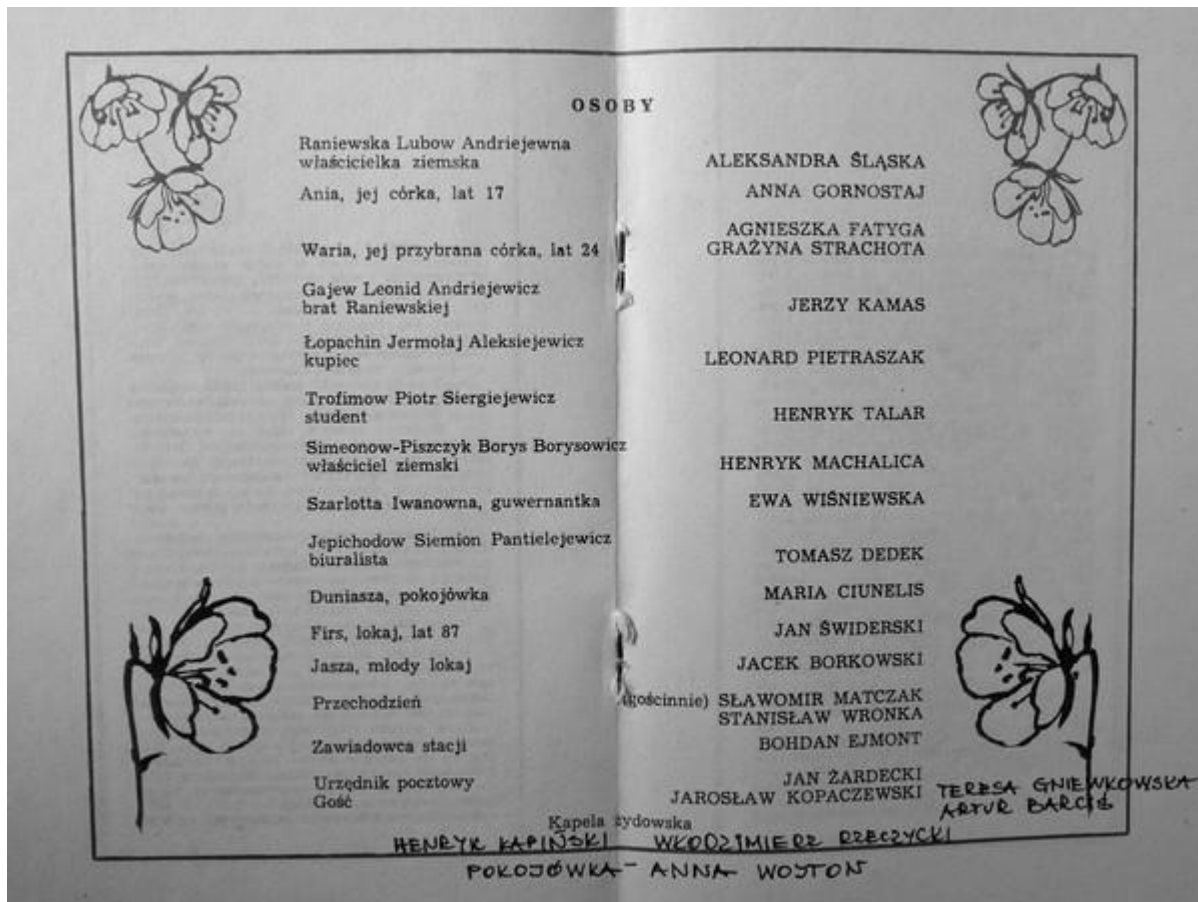
Teatr im. Stefana Jaracza

1986.04.26.

ANTONI CZECHOW

WIŚNIOUY SAD

Reżyseria: JANUSZ WARMIŃSKI



Program *Wiśniowego sadu*. Gwiazdorska obsada fot. archiwum Autora

– **Ja bym cię znów awansowała... żebyś na przykład coś mówił...**

– Uważaj. Na cztery dni przed premierą awansowałem na gościa, który mówi wiersz.

– **Nie...**

– Tak. Raniewska-Śląska mówiła do Firsza-Świderskiego: „Popatrz, nawet tego z poczty zaprosili” i to było o mnie. Oczywiście ten wiersz, który mówiłem, nie był długi. Szybko się go nauczyłem. Na premierze tak go powiedziałem, że dostałem brawa. Tym sposobem zostałem wreszcie zauważony w teatrze przez samego dyrektora Warmińskiego i przez Śląską. Kiedyś przyszła do mnie po spektaklu i powiedziała: „Jesteś zwierzę aktorskie”. To był największy komplement, jaki mogłem usłyszeć. Od tego czasu zaczęła się moja dobra passa w Ateneum.

– **Byleś cierpliwy. Przecież to musiało być strasznie denerwujące – przejść od głównych ról w Narodowym do statystowania w Ateneum.**

– Ale się opłacało. Następną sztuką było *Przekłętą tango*. To robiła Lena Szurmiej. Awangardowy musical z dużą ilością tańca. Niezwykły zupełnie. Grałem postać, która się nazywała Czarne Tango, a Jurek Kryszak grał Białe Tango. Postać poety, czyli główną rolę, grał Emilian Kamiński. Dostyc sporo nas było w obsadzie, sama młodzież. Za tę rolę dostałem swoją pierwszą i jedyną teatralną nagrodę. Na Spotkaniach Teatralnych w Rzeszowie w 1987 roku. Potem dyrektor Warmiński obsadził mnie w spektaklu, który znowu sam reżyserował. To był

Garaż Erdmana. Sztuka miała ogromne powodzenie i była bardzo zabawna. Prawie cały zespół teatru na scenie. No i już! I poszło. Potem był *Lejzorek*. Grałem go ponad osiem lat.

– **A co w międzyczasie z filmem. Przecież nie zrezygnowałeś z grania w filmach...**

– Tak, grałem wtedy w wielu filmach. Nie były to duże role, więc na szczęście mogłem to jakoś pogodzić. Mam wymieniać wszystkie?

Powiedz o takich, które do dziś mają swoich fanów.

– *Tulipan*. Tak, tak... Janusz Dymek reżyserował... On mnie zaangażował do bardzo, bardzo charakterystycznej i ważnej roli w tym serialu. Grałem brata jednej z ofiar. „Tulipan” to był taki... uwodził kobiety itd. i jakoś trzeba było go złapać... Jurek Kryszak grał milicjanta, który tego „Tulipana” ścigał. Nie mogli go złapać i wtedy brat jednej z ofiar, czyli ja, postanowił go śledzić. Zorientował się, że ten oszust obstał sobie buty u szewca. Zatrudnił się tam jako czeladnik i czekał na niego. No i jak ten „Tulipan” przyszedł, to kazał mu te buty przymierzyć i wtedy przybił go gwoździem do podłogi. Do tej pory ludzie mnie zaczepiają na ulicy, bo film był wielokrotnie powtarzany, i mówią, że właśnie scenę z tym przybiciem nogi najbardziej zapamiętali z całego serialu.

– **Znów byłeś rozpoznawany jako postać z serialu...**

– Tak, zdobyłem trochę popularności. Niekoniecznie przyjemnej, bo żeńskiej części widowni to się bardzo nie spodobało, co w końcu odbiło się też na mnie. Wtedy w sklepach nie można było dostać praktycznie niczego, ale że byłem aktorem, a ludzie zaczęli mnie już rozpoznawać, to w sklepie mięsny pani mi zostawiała trochę schabu czy czegoś innego. Od chwili, gdy ukazał się ten odcinek *Tulipana*, przestałem mieć u niej fory. Dzień po emisji jakaś kobieta rzuciła się na mnie, rozerwała mi koszulę, odpadły mi guziki, rzucała jakieś przekleństwa, że jak ja mogłem przybić człowieka do podłogi... Do dziś ludzie mnie pytają, jak to było zrobione.

– **A potem Zanussi i Kieślowski?**

– To było chyba równoległe... Trzeba sprawdzić, bo nie pamiętam... Od tego momentu zaczęli się mną interesować ci reżyserzy z górnej półki: Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, Agnieszka Holland... Nie były to jakieś duże role. Aaaaa, przepraszam, Zanussi dał mi dużą rolę w filmie *Życie za życie* o św. Maksymilianie Kolbie. Wojtek Marczewski z kolei bardzo ważną rolę w świetnym filmie *Ucieczka z kina Wolność*.



Uciezka z kina Wolność – kinooperator fot. archiwum Autora

– **Pamiętam ten film, ale zapamiętuje się też twoją postać.**

– Grałem kinooperatora. Chciałem wyglądać jakoś inaczej. Miałem już wtedy brodę i wąsy, dodałem sobie okulary jak denka od butelek... jakieś nauszники... Fajna postać. Lubię ją. Wymyśliłem sobie, jaki ma być ten człowiek po rozmowach z Wojtkiem... Bardzo fajne były te rozmowy. Dokładnie wiedział, czego chce, co chce osiągnąć. Wszystkie postaci w tym filmie były... jakieś. Każda postać musiała być interesująca, mieć to coś... Wcześniej już Kieślowski mi to zaszczeplił, że warto szukać w postaci jakiejś tajemnicy, drugiego dna, jakiegoś szamotania w środku. Żeby nic nie było jednoznaczne. Żeby bohater miał jakiś ukryty znak zapytania. I chyba tak właśnie chciałem zagrać tego kinooperatora. On dużo widział... wiele filmów, wiele wyciętych scen. Niby tylko puszczał filmy, ale wiedział coś więcej... Nie była to duża rola, ale ważna. Bardzo dobrze mi się ją grało.

– **Wajda?**

– U Andrzeja Wajdy zagrałem w filmie *Wielki Tydzień*. Niedużą rolę, ale ciekawą. Grałem polskiego faszystę. To był film o powstaniu w getcie, z Beatą Fudalej w roli głównej. Ten faszysta uważał, że Niemcy dobrze robią, że mordują Żydów. Był fanatykiem. Faszystą z przekonania... Ta rola też została zapamiętana. To był właściwie epizod, ale i tak niektórzy ludzie mi wypominali, że zgodziłem się zagrać kogoś takiego, że przecież to kłamstwo, bo Polacy nigdy nie byli faszystami.

– **I co dalej? Kieślowskiego na razie specjalnie omijam.**

– W międzyczasie dostałem w Ateneum propozycję od Maćka Wojtyszki... Właściwie to nie dostałem propozycji, tylko po prostu dowiedziałem się kanałami... przez sekretariat... Pani Wiesia powiedziała mi w tajemnicy: „Artur, słuchaj, będziesz grał główną rolę w najnowszym spektaklu”. Myślałem, że spadnę z krzesła, bo w Ateneum trzeba było sobie zasłużyć na główną rolę, a ja tam byłem dopiero dwa czy trzy lata. To bardzo mało... I nagle okazało się, że będę grał główną rolę, co było niepojęte zupełnie. Miała to być główna rola u Wojtyszki w *Burzliwym życiu Lejzorka*.

Z tą moją słowiańską urodą to nie bardzo widziałem siebie w roli Żyda. Niby już grałem podobną postać w *Panu Tadeuszu*, ale to było jednak coś innego. Główna rola!!! Inni aktorzy też przebąkali, że chyba to bez sensu, że to jakiś błąd, bo niby dlaczego Barciś ma grać główną rolę i jeszcze Żyda na dodatek... Jednak Maciek Wojtyszko był zdecydowany.

Równocześnie – nie wiem, czy nie tego samego dnia – dostałem propozycję zagrania w filmie pt. *Ostatni prom* Waldka Krzystka. Bardzo ciekawy scenariusz i do tego jedna z głównych ról. Niestety, jedno na drugie się nakładało, bo film miał być kręcony w całości poza Warszawą. Połowa filmu miała być kręcona w Świnoujściu w doku, a połowa na morzu. W tym samym czasie co próby do *Lejzorka*. Wiedziałem, że mogę zagrać albo jedno, albo drugie.

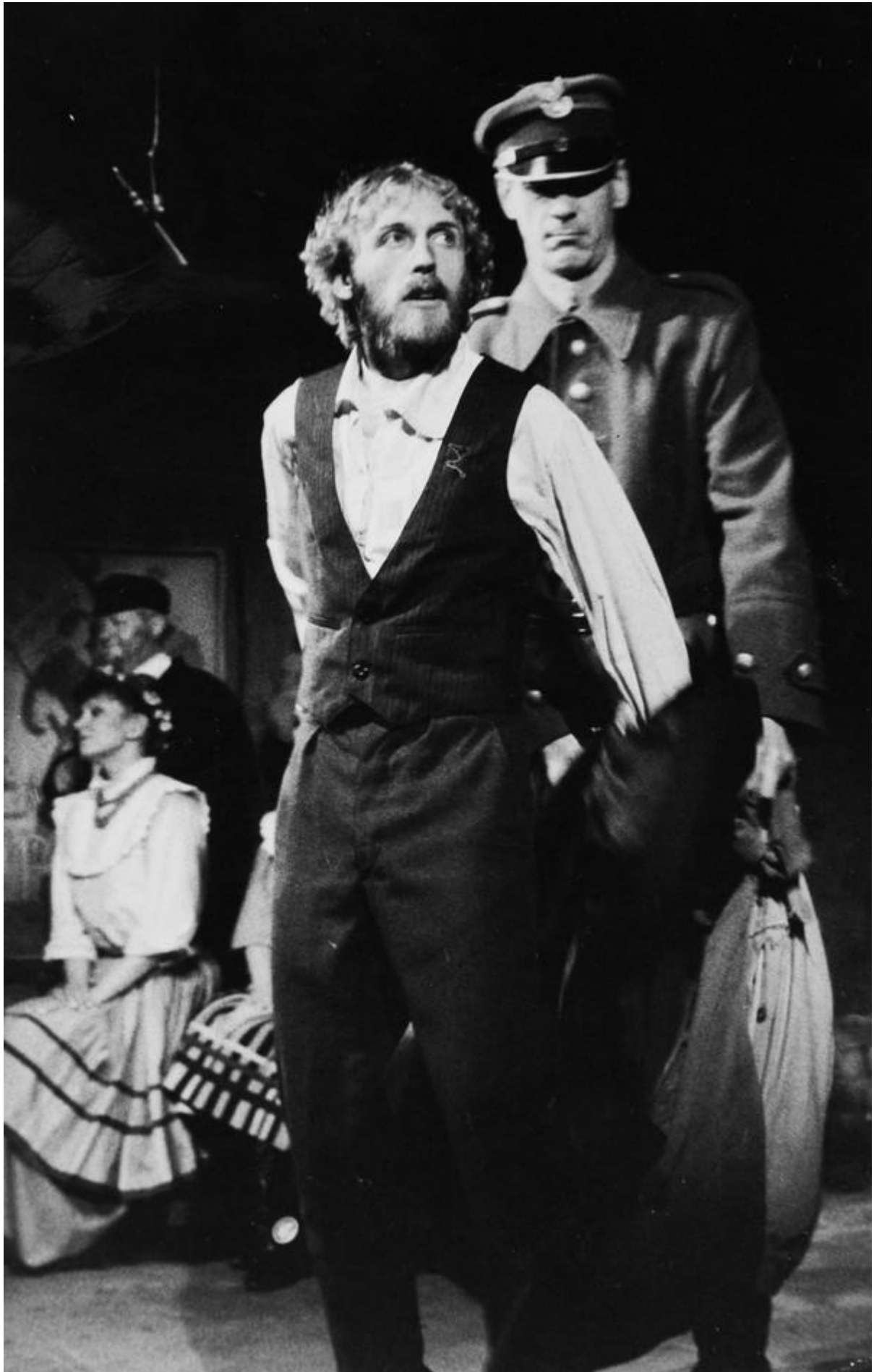
– **Kłeska urodzaju...**

– Straszna sytuacja, bo czekałem na taką dużą rolę w ważnym filmie dość długo... Ale przecież nie mogłem pójść do Warmińskiego i powiedzieć, że nie wezmę głównej roli w teatrze. To nie wchodziło w grę. Na szczęście los okazał się łaskawy. Zadzwoiłem do Maćka Wojtyszki, u którego wcześniej zagrałem... No właśnie, jak to się czasem opłaca zagrać epizod...

Jakiś czas wcześniej zaproponowano mi mały epizod w *Mistrzu i Małgorzacie*. Reżyserował Maciej Wojtyszko. To był duży teatr telewizji. Przeczytałem dwie kartki scenariusza, które mi dali, zobaczyłem, że mam trzy kwestie, i pomyślałem: „Po co ja mam przyjmować taki epizodzik. Ja już nie chcę grać epizodów. Tym bardziej że złośliwi koledzy zarzucali mi wtedy, że gram w każdym filmie, że biorę wszystko, co mi dają. Z drugiej strony zależało mi na spotkaniu z Maćkiem, bo go bardzo ceniłem, a prawie nie znałem. Zadzwoiłem

do Maćka z pytaniem, czy to jest przypadek, że akurat do mnie zadzwonili, czy on naprawdę chce, żebym zagrał tę konkretną rolę. Maciek Wojtyszko, jak to Maciek, fantastycznie potrafi połaskotać ludzką próżność. Odpowiedział dyplomatycznie, że oczywiście, że mnie rozumie, ale sobie wymarzył, żebym to właśnie ja zagrał ten epizod, że on sobie nie wyobraża, że mógłby to zagrać ktoś inny. Oczywiście może zagrać ktoś inny, ale on chciałby, żebym to był ja.

Od razu się zgodziłem. W tym spektaklu grały szczyty polskiego aktorstwa, szczyty. Od Holoubka po Zapasiewicza. Sami najwybitniejsi aktorzy. Znaleźć się w tym gronie to było jednak coś. Zagrałem tę rolę, bardzo się to spodobało Maćkowi i potem, gdy miał robić *Lejzorka* w Ateneum, to od razu pomyślał o mnie. I tak to właśnie jest.



– **Ale z Lejzorkiem był kłopot...**

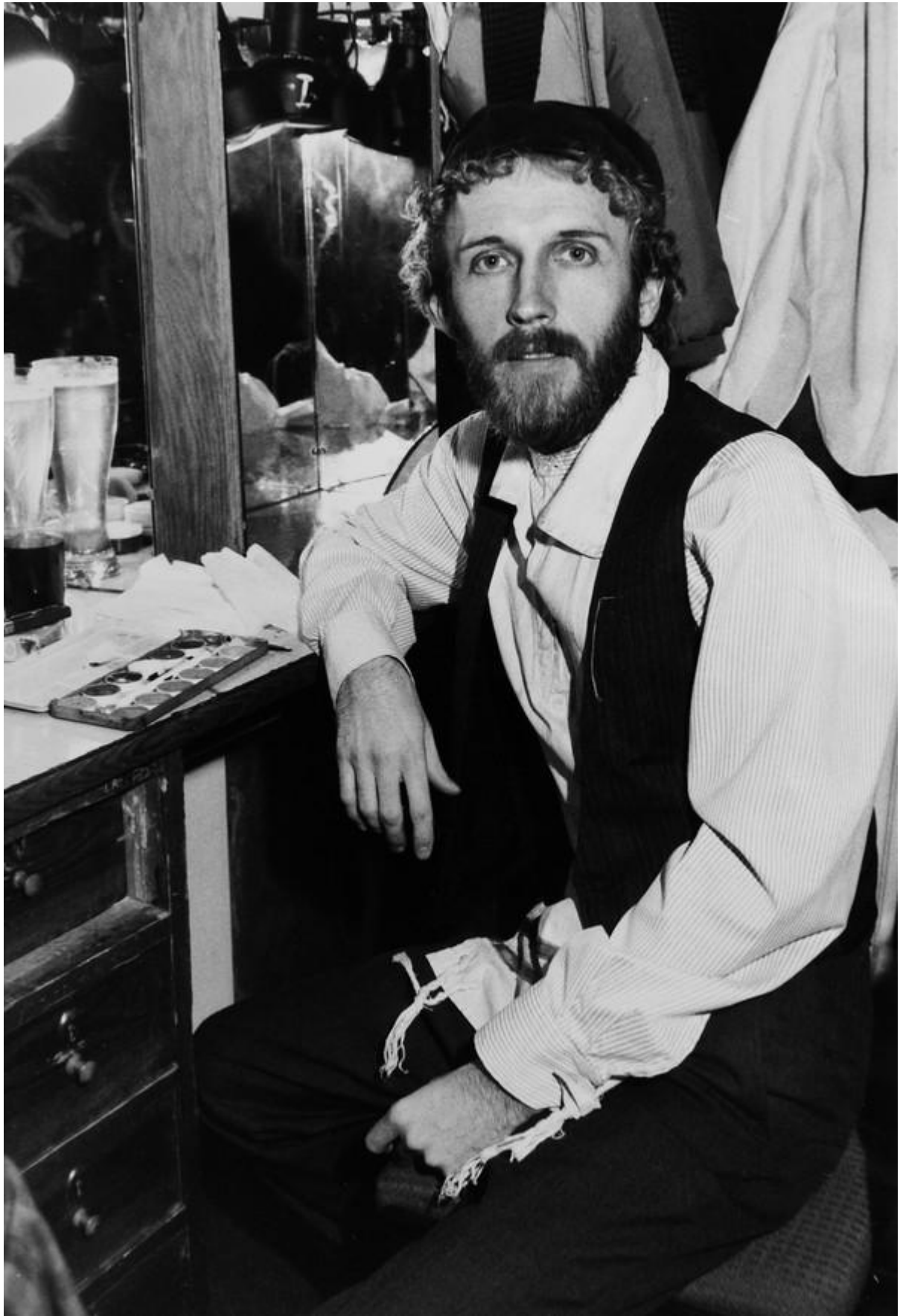
– Zadzwoiłem do Maćka i powiedziałem mu o tym *Ostatnim promie*, że się nakłada na *Lejzorka* itd. Maciek i wtedy, i wielokrotnie potem w moim życiu okazał się aniołem. Wysłuchał mnie i powiedział: „Nie przejmuj się, coś wymyślę”. I wymyślił! Powiedział, że nie może na razie zacząć prób, bo rzeczywiście była taka sytuacja, że przygotowywał dwie premiery równoległe: w Ateneum *Lejzorka* i w Polskim Teatrze w Londynie *Kandyda* Woltera, tylko że w Londynie miał reżyserować później, ale ze względu na mnie przestawił te terminy... Zrobiliśmy tak, że zaczęliśmy próby w Ateneum, dwie czy trzy próby czytane, potem Maciek poleciał do Londynu robić tego *Kandyda*, a ja mogłem w tym czasie nakręcić *Ostatni prom*. Jak zdjęcia się skończyły, to Maciek właśnie wrócił i mogliśmy dokończyć *Lejzorka*. W czasie kręcenia *Ostatniego promy* urodził się mój syn Franek.

– **To pamiętam. Twoja Beba czekała z porodem na twój trzydniowy przyjazd.**

– To chyba był raczej szczęśliwy zbieg okoliczności, ale lubię mówić, że czekała.

– **Szczęście w życiu rodzinnym, a w życiu zawodowym wreszcie główna rola w Ateneum. Premiera była w 1992 roku.**

– Osiem lat mojego życia. Osiem lat... Pewnie gralibyśmy go dłużej, bo spektakl miał nieustające powodzenie, ale zszedł z afisza, bo ja się zrobiłem trochę za stary... Zobacz zdjęcia z *Lejzorka*. Mam wąsy i brodę... i dużo włosów na głowie, które zresztą mi kręcili. Zawsze miałem proste włosy, a ponieważ grałem Żyda, to przed każdym spektaklem musiałem je kręcić. To była straszna męka, bo charakteryzatorka, która mi te włosy kręciła, robiła to takim starym „żelazkiem” na duszę. Takie jakby szczypcy wkładało się do duszy i one się tam nagrzewały. Pani Danusia co jakiś czas się zagapiała, bo ciągle z kimś gadała, i przypalała mi skórę na głowie... Ojej, ile ja się nacierpiałem... Ale efekt był świetny. Miałem pokręcone loki i wąsy, i brodę... Właśnie dlatego te wąsy i brodę zapuściłem, żebym wyglądał wiarygodnie...



– **Ten okres zbiega się z *Okienkiem Pankracego*.**

– Tak, za każdym razem, kiedy widzę zdjęcia z Pankracego, to myślę: „Aha, to było wtedy, gdy do *Lejzorka* miałem brodę”. Później oczywiście tę brodę zgoliłem, bo broda i wąsy bardzo ograniczają aktora. Można grać tylko brodaczy i wąsaczy... Wolałem być aktorem uniwersalnym. Akurat tak się złożyło, że moja koleżanka z teatru ścięła włosy i z tych właśnie włosów zrobili mi perukę, brodę i wąsy. Tą koleżanką była Agnieszka Pilaszewska, z którą spotkałem się później na planie *Miodowych lat*. W *Lejzorku* grała moją największą miłość.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 10

ŻEBY SIĘ CZŁOWIEK ZASTANOWIŁ...

– **Czas na *Dekalog*.**

– Cóż, to chyba jeden z najważniejszych filmów w moim życiu.

le podczas naszych rozmów czułam, może niesłusznie, jakbyś go omijał...

– Nie, nie. Wiem, że powinniśmy o tym porozmawiać, tylko... Mam poczucie jakiegoś nadużycia. Ciągłe ktoś mnie o to pyta. Pytanie o *Dekalog* jest prawie w każdym wywiadzie, a ja kolejny raz muszę odpowiadać to samo...

– **Pytanie o to, kogo grałeś?**

– Tak, kogo grałem w *Dekalogu*. I wtedy nie wiem, co robić, bo albo powinienem nie odpowiadać, albo powiedzieć zgodnie z prawdą, że nie wiem. Z jednej strony mam świadomość, że brałem udział w czymś bardzo ważnym. Dziś w każdej szkole filmowej na świecie ten cykl jest lekturą obowiązkową. Wiem, że uczestniczyłem w dziele filmowym, które przetrwa... Myślę, że *Dekalog* na zawsze zostanie w historii filmu. Ale z drugiej strony, ja naprawdę uważam, że na to wszystko nie zasługuję, bo ja w tych filmach bardzo niewiele zrobiłem. Bardzo, bardzo niewiele. Zrobiłem tylko to, o co mnie poprosił Krzysztof Kieślowski, ale to nie było trudne zadanie.

– **Ale jednak to o tej roli mówi się najwięcej.**

– Bo była inna. Problem polegał na tym, że Krzysztof naprawdę nie wiedział, kto to ma być. Dlatego w scenariuszu tej postaci właściwie nie ma. W każdym odcinku jest opisany jakiś człowiek, który idzie... z drabiną albo z łódką na plecach. W szóstej części był cały na białło. To jest odcinek o miłości... czyli, żeby symbolizował niewinność... Każdy rekwizyt, którego używałem, coś znaczył. Nic nie było przypadkowe. W piątej części jest ten geodeta, stoi z jakąś miarą (nie wiem, jak to się nazywa – linią mierniczą) i to oczywiście coś znaczy, to są wszystkie rekwizyty symboliczne. W każdej części... Przepraszam, nie w każdej, bo nie wystąpiłem we wszystkich częściach, jak niektórzy podają. Mojej postaci nie ma w dziesiątym odcinku. Zrobiliśmy to świadomie... Bo chociaż go nie ma na ekranie, to przecież na pewno gdzieś jest, prawda? Śladowo pojawiłem się w siódmej części, ale to dlatego, że sceny z moim udziałem...

się nie nagrały. Materiał, który nakręciliśmy, po prostu nie nadawał się do użycia. W jednym ujęciu mającę na peronie w tle jako człowiek o kulach.

– **Domyślam się, że są tacy, którzy i tak cię wypatrzyli.**

– Oczywiście. Tak czy inaczej w tej roli czy rolach, bo teoretycznie grałem przecież różnych ludzi, chodziło o połączenie dwóch światów. Realnego i tego, o którym nic nie wiemy i albo w niego wierzymy, albo nie. *Dekalog* to był cykl – Krzysztof nie lubił słowa „serial”, wołał mówić „cykl filmów” – oparty na Dekalogu, czyli podstawowych prawdach wiary. Bo przecież te filmy w bardzo luźny sposób są związane z przykazaniami czy z samą wiarą, z Kościołem... Opowiadają jakieś obyczajowe historie, które poprzez fakt, że dotyczą w tytule przykazania, nabierają innego, dodatkowego znaczenia. Te historie są uniwersalne. Nie jest ważne, że dzieją się w PRL-u, bo nie dotyczą doraźnej rzeczywistości. Dotyczą moralnej kondycji człowieka.

– **A ty? Po co ciebie tam umieścił Krzysztof Kieślowski?**

– Grałem postać, która miała być łącznikiem między tymi dwoma światami, a jednocześnie jakby znakiem zapytania. Żeby człowiek się zastanowił... Żeby chociaż się zastanowił, czy jest ktoś, kto tym wszystkim kieruje, czy to się dzieje samo. Na własny użytek powiedziałem sobie, że gram... tajemnicę. Kieślowski prowadził dialog z publicznością, z widzami. On ich pytał. I każdy sam musiał sobie na te pytania odpowiedzieć. Podobnie jak na pytanie o to, kogo grałem. Tych interpretacji są dziesiątki. Byłem aniołem śmierci, wysłannikiem Boga, Jezusem, sumieniem, ostrzeżeniem... I o to właśnie Krzysztofowi chodziło. Dokładnie o to, żeby widz się zastanowił, żeby sobie zadał pytanie.

– **I wtedy przestajemy już mieć zwykłą historię obyczajową, a mamy opowieść, która jakoś i nas dotyczy.**

– Tak, tak... Ta opowieść staje się dla nas ważna, bo w sensie moralnym nas, widzów, dotyczy. W Polsce na początku *Dekalog* był niemiłosiernie krytykowany. Niemiłosiernie po prostu. Że pretensjonalny... Pisali straszne rzeczy... Nawet wtedy, gdy cały świat już się zachwycał, to w Polsce ciągle strasznie krytykowali Kieślowskiego. Prawie wszyscy. Dla polskich krytyków *Dekalog* był beznadziejny.

– **To dotykało wszystkich, którzy przy tych filmach pracowali...**

– Oczywiście, to bardzo nas wszystkich bołało. Mnie osobiście... Bardzo źle znosiłem te ataki. Wiedziałem, że uczestniczę w czymś bardzo, bardzo ważnym, a te recenzje były takie zjadliwe...



Krótki film o zabijaniu, reż. Krzysztof Kieślowski fot. Studio Filmowe „Tor” – fotos pochodzi ze zbiorów Filmoteki Narodowej

– Uczestniczyłeś w czymś ważnym, a jednak przyznajesz, że masz poczucie pewnego nadużycia, mówiąc o *Dekalogu* w tyłu wywiadach.

– Aaaa, to żeby skończyć wątek, od którego zacząłem. Ja naprawdę nie zasłużyłem na to zainteresowanie. Powiedziałem to zresztą Krzysztofowi kiedyś... Bo on później kręcił filmy głównie za granicą i nie widzieliśmy się jakiś czas. I jak się spotkaliśmy, to ja go przeprosiłem: „Wiesz, mnie pytają ciągle o ten *Dekalog* w wywiadach i ja tak odpowiadam, jak umiem, i przepraszam cię, że tak właściwie tylko odcinam kupony od czegoś, na co miałem niewielki wpływ”. Ale Krzysiek powiedział, że wszystko OK, że to moja rola i nic dziwnego, że mnie pytają.

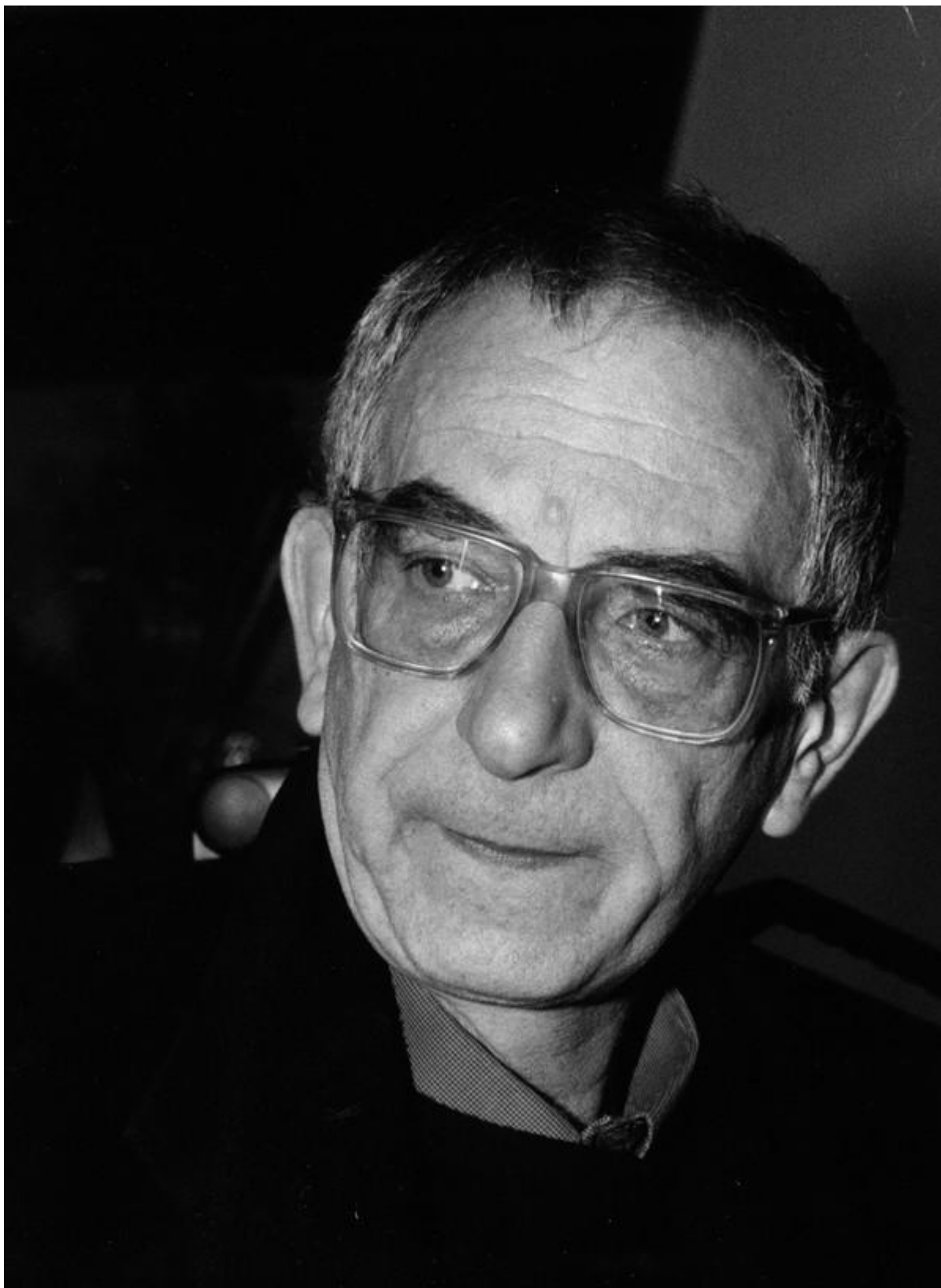
Krzysztof był takim reżyserem, który potrafił w jednym zdaniu wytłumaczyć, o co mu chodzi. W jednym zdaniu! To był w ogóle człowiek, który nie mówił niepotrzebnych słów. Ja do ciebie mówię mnóstwo niepotrzebnych wyrazów. Powinno się je powywalać... ale wtedy to nie będę ja... To niech tak już zostanie...

– **Każdy jest inny.**

– Krzysztof był niezwykle mądrym człowiekiem. Mówił prawdę. W wywiadach czy gdziekolwiek. Widziałem parę razy, jak na konferencji prasowej potrafił tak przyłożyć niektórym dziennikarzom, że aż im tchu brakowało, ale to zawsze była prawda. Dlatego pewnie niektórzy z nich tak go nienawidzili.

– **A ty mówisz prawdę w wywiadach?**

– Staram się, ale... Kiedyś prowadziłem konferencję prasową z okazji promocji książki Stanisława Zawislińskiego *Kieślowski. Bez końca*. Krzysztof przyleciał wtedy z Cannes. Kilka dni wcześniej oświadczył, że nie będzie już kręcił filmów. Nikt mu nie wierzył. Myśleli, że to taka koniunkturalna zagrywka. Oczywiście przed spotkaniem przeczytałem tę książkę. Była świetna. Taki wywiad rzeka, podobnie jak nasza. I wiesz co? Tam nie ma ani jednego niepotrzebnego wyrazu. Zastanawiałem się wtedy, na czym polega ta tajemnica, na czym polega to, że tak można, że wszystko jest tak jak trzeba... I nagle zrozumiałem, że Krzysztof jest człowiekiem, który zawsze mówi prawdę. To takie proste! On po prostu mówił to, co myślał! Dziennikarzowi, który zadawał jakieś głupie pytanie, odpowiadał: „Dlaczego pan mi zadaje takie głupie pytanie?”. I uzasadniał od razu, dlaczego – jego zdaniem – to pytanie było głupie. No to go nie lubili...



Krzysztof Kiesłowski fot. Krzysztof Wellman/Agencja eRBe

– **Mówić zawsze prawdę – to trudne. Z różnych powodów...**

– Uświadomiłem sobie wtedy, a byłem już dość popularnym aktorem, że w wywiadach to ja tylko do pewnego stopnia mówię prawdę, a reszta to jest to, co ja bym chciał, aby ludzie o mnie myśleli. Albo mówię coś, bo wolę, aby ludzie tak właśnie mnie postrzegali, bo może gdybym powiedział coś innego, to przestaliby mnie lubić. A zawsze bardzo zależało mi na ludzkiej akceptacji. Na akceptacji widzów, na tym, żeby mnie... lubili. Tak, żeby mnie lubili. Oczywiście na końcu tego myślenia jest zwykły szacunek. Chciałbym, żeby mnie szanowali... Chyba po to się też żyje, żeby zasłużyć sobie na szacunek ludzi... Tak mi się wydaje, że to jest najważniejsze. Dlatego gdy wspominam Krzysztofa i to jego mówienie prawdy... Zazdrościłem mu, że on tak umie. Ja tego nie potrafiłem i chyba do tej pory nie potrafię tak do końca. Nie, nie potrafię. Na to trzeba się zdobywać.

Ja wiem, że nie powinienem się wypowiadać na niektóre tematy, na przykład polityczne, bo to psuje w oczach niektórych widzów mój wizerunek. Widz nie powinien może tego wiedzieć... Mało tego, on czasem nawet nie chce tego wiedzieć... Ale czuję, że muszę, bo zależy mi na tym, jaki jest ten kraj, bo chcę, aby ten kraj był normalny... Czuję, że czasem powinienem po prostu jako człowiek jakoś zareagować. Potem dostaję listy z obelgami, nawet groźbami... Trudno, to jest właśnie cena zdobywania się na prawdę. Ja przecież sam o to nie proszę, ale jeśli się do mnie zwracają, to tchórzostwem byłoby odmówić. Ale czasem...

Kiedyś jedna pani napisała: „Dlaczego pan mi to robi? Ja nie chcę znać pańskich poglądów, bo one mi przeszkadzają w odbiorze pańskiej sztuki. Znając teraz pana prywatne poglądy, przestałam pana lubić i bardzo mi z tym źle”... Rozumiem tę panią, ale uważam, że mimo wszystko mam prawo mówić to, co myślę. Tak robił Krzysztof. Próbuje doścignąć ten jego wzorzec moralny. Chciałbym być takim człowiekiem jak on, zawsze chciałem, od momentu, kiedy go poznałem. Chodzi o to, aby być w tym stopniu uczciwym wobec siebie i ludzi, którzy mnie otaczają.

– **Próbujesz być uczciwy i to jest ważne. Niektórzy w ogóle nie podejmują takich prób.**

– Myślę, że wszyscy próbują, tylko nie zawsze im wychodzi, bo to jest trudne. To wymaga jakiejś... pokory wobec siebie. Jeżeli ktoś mówi mi, że jestem na przykład beznadziejnym aktorem, to zastanawiam się po pierwsze, dlaczego on mi to mówi, a po drugie – biorę pod uwagę, że może mieć rację... Nie tak w ogóle, bo wiem, że coś tam umiem, ale jeśli dotyczy to konkretnej roli, może mieć rację. Maciek Wojtyszko napisał rewelacyjną książkę pt. *Bromba i psychologia*. Zauważył w niej, że ludzie dzielą się na refleksyjnych i nierefleksyjnych. Refleksyjni to ci, którzy zakładają, że mogą się mylić. Nierefleksyjni zawsze mają rację. No to ja jestem osobą refleksyjną. Staram się słuchać tych, którzy mają odmienne zdanie. Mogę się z nimi nie zgadzać, ale staram się wziąć pod uwagę to, co mówią.

– **Dekalog to okres waszej – Kieślowskiego i twojej – wspaniałej współpracy.**

Dlaczego później była przerwa? Co było powodem, że nie grałeś w kolejnych filmach? Wiesz, dlaczego tak się stało?

– Prawdę mówiąc, to miałem trochę żal do Krzysztofa, że nie zaangażował mnie już do żadnego swojego następnego filmu. Nie grałem ani w *Podwójnym życiu Weroniki*, ani w *Trzech kolorach*... Potem się dowiedziałem dlaczego. Na początku myślałem, że to wszystko przez *Okienko Pankracego*. Po tym okresie mojej euforii po udziale w *Bez końca* i *Dekalogu* nie dostawałem wielu ciekawych propozycji. Ożeniłem się i żeby utrzymać rodzinę, musiałem coś robić. Zgodziłem się na pół roku, w zastępstwie Tadek Chudeckiego, wystąpić w programie dla dzieci *Okienko Pankracego*. Tylko że Tadek wyjechał do Włoch i nie wrócił. Chcąc nie chcąc,

musiałem to kontynuować. Z drugiej strony muszę przyznać, że ten program sprawiał mi dużą frajdę. To było bardzo fajne... Poza tym poznałem, co to jest niebywała wprost popularność. W ciągu kilku miesięcy nagle stałem się człowiekiem wszędzie rozpoznawalnym. Udało mi się prowadzić ten program w miarę sympatycznie. Sztuka polegała na tym, żeby być bardzo naturalnym, żeby z tym psem rozmawiać jak z dzieckiem, bo dzieci się utożsamiały z Pankracym. Dzieci chciały, żeby rodzice też tak z nimi rozmawiali. Dlatego dialogi musiały być prawdziwe.

Kiedyś spotkałem Krzysztofa... To było w szpitalu. Ja odwiedzałem mojego teścia, który był chory na serce, a Krzysztof robił jakieś badania... Spotkaliśmy się na korytarzu, przywitaliśmy się bardzo serdecznie i on z taką troską w głosie powiedział: „No i co, zostałeś Misiem z okienka...”. Pamiętam to jak dziś, ja wiele rzeczy zapominam, a to pamiętam, jakby to było teraz. Stałem przed nim, przed tym wielkim człowiekiem, który mi mówi, że zostałem Misiem z okienka, i czułem niezadane pytanie: dlaczego to zrobiłem. Odpowiedziałem: „Z czegoś muszę żyć”.



Program *Okienko Pankracego*

fot. archiwum Autora

– **Zrozumiał?**

– Chyba zrozumiał. Wiedział, że niewiele poszło za *Dekalogiem*, że to jego odkrycie mnie jako aktora nie zaprocentowało wielkimi rolami u wielkich reżyserów. U Agnieszki Holland zagrałem epizodzinę w filmie *Europa, Europa*, żołnierza radzieckiego, który się boi, że go za chwilę rozstrzelają. To był epizodzik. Zaszczytem było grać u takich reżyserów, ale wielkie role to nie były.

– **Ale nie wyjaśnił, dlaczego cię nie angażował?**

– Później, dużo później, powiedział mi, że ta postać w *Dekalogu* zrobiła się tak znacząca, że gdziekolwiek by mnie wstawił, natychmiast tworzyłoby to jakąś dodatkową wartość.

– **I miał rację?**

– Tak. Jurek Stuhr, u którego w *Historiach miłosnych* grałem adwokata Kasi Figury, na każdym spotkaniu za granicą musiał odpowiadać na pytania: „A ten aktor, który grał u Kieślowskiego tę dziwną postać? Czy to, że on tutaj gra adwokata, to ma jakiś dodatkowy sens?”. Jurek tłumaczył, że nie, że to tylko aktor, którego ceni i zaangażował do filmu. Ale pewnie by mi nie dał tej roli, gdyby nie moje role u Kieślowskiego, z którym się bardzo przyjaźnił. Zresztą nie wiem...

– **Pamiętasz waszą ostatnią rozmowę?**

– Na wiosnę 1996 roku, na dwa tygodnie przed... Pojechaliśmy całą ekipą – Krzysztof Piesiewicz, Zbyszek Zamachowski, Jurek Stuhr i ja – do Salonik na przegląd filmów Krzysztofa Kieślowskiego... Wielki koncert muzyki z jego filmów. Dyrygował Zbyszek Preisner... Krzysztof miał z nami lecieć, ale lekarz mu zabronił. Wtedy ostatni raz rozmawialiśmy... przez telefon... Mówił, że chętnie by z nami poleciał, ale nie może. Za dwa tygodnie miał mieć operację i bardzo się jej bał...

12 marca miałem straszny wypadek samochodowy. Wpadłem w poślizg i roztrzaskałem się o drzewo przy drodze. Z auta prawie nic nie zostało, do kasacji, a mnie nic się nie stało. Nic, nawet draśnięcia. Nie wiem, po co ci to mówię, bo jestem pewien, że to był przypadek, ale... następnego dnia, gdy dotarło do mnie, że cudem uszedłem z życiem, zadzwoniła jakaś pani z radia, żebym powiedział, co czuję, bo zmarł Krzysztof Kieślowski. Czasem odwiedzam go na Powązkach i opowiadam mu, co u mnie słyhać. Zawsze palą się tam jakieś znicze.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 11

BRACISZEK NORKA

– **Uważasz, że nie o wszystkim trzeba mówić. Więc o czym warto, co sam chcesz pamiętać?**

– Filmy Andrzeja Barańskiego. Zagrałem epizod w jego *Kramarzu*, a potem jedną z głównych ról w *Kawalerskim życiu na obczyźnie*. Jakiś czas później były *Dwa księżyce*. Andrzej kręci zupełnie inne filmy niż wszyscy. Tworzy swój własny klimat, ma swój własny sposób opowiadania... jedyny. To jest jak podpis. Barańskiego rozpozna się zawsze... Niełatwy... To nie jest kino rozrywkowe. To jest sztuka. Uwielbiam *Dwa księżyce*. Grałem ślepego Michała, autentyczną postać. Film był kręcony w Kazimierzu nad Wisłą... Plejada

aktorów, same znakomitości. Fantastyczni ludzie: Joasia Szczepkowska, Beata Tyszkiewicz, Krzysiek Kolberger, Bożena Dykiel, Stasia Celińska, Jerzy Kamas, Franciszek Pieczka, Janek Frycz, Czarek Pazura... I tak się wtedy zaprzyjaźniliśmy z panem Andrzejem, z którym już teraz jestem na „ty”. Jakoś tak długo byliśmy właśnie na „pan” z wzajemnym szacunkiem.



Ślepy Michał w *Dwóch księżycach*, reż. Andrzej Barański fot. archiwum Autora

– **Ale wasz najważniejszy film był jeszcze przed wami...**

– Zagrałem w filmie *Dzień wielkiej ryby*. Rola drugoplanowa u boku Janka Peszka.

Wtedy Andrzej mi powiedział, że ma pomysł na scenariusz o zakonniku, który nie uczynił żadnego cudu, a mimo to powinien zostać świętym... Udało nam się nakręcić ten film. Ma tytuł *Braciszek*. Jego bohaterem jest Alojzy Kosiba, zakonnik, który wymodlił u Pana Boga własną śmierć w zamian za życie małego chłopca. Autentyczna postać. Miał taką absolutnie bezkompromisową wiarę. Do tego stopnia, że kiedy się modlił, to wiedział... Nie tylko wierzył, ale po prostu wiedział, że Bóg z nim rozmawia, że Bóg go naprawdę słucha. Wierzył, że właśnie w tym momencie, kiedy on się modli, Bóg go słucha. I jak to sobie uświadamiał, to tak się wzruszał, że zaczynał płakać ze szczęścia.

– **Nie muszę pytać, jak się pracowało przy tym filmie, bo przecież mówisz, że to absolutnie fantastyczny reżyser, ale przecież od 1996 roku, kiedy Barański miał pomysł na film, do jego powstania w 2007 roku upłynęło bardzo dużo czasu.**

– Nie było pieniędzy. Scenariusz był odrzucany... To był taki czas, że wszystko, co produkowała telewizja – bo to był film telewizyjny – musiało być komercyjne. Barański nie był komercyjny, a scenariusz *Braciszka* był arcynekomercyjny.

– **Bo?**

– Bo był napisany... dziwnie. Przeczytałem wiele scenariuszy, ale ten był zupełnie inny. Był oparty na wypowiedziach ludzi, którzy mówili o tym zakonniku dawno temu. Te wypowiedzi były bardzo wyidealizowane. Oni nie mówili o żywym, normalnym człowieku, tylko o kimś, kogo uważali za świętego. I to było bardzo, w sensie aktorskim, niewiarygodne. Nikt tak nie mówił. Z drugiej strony ten scenariusz miał niezwykle klimat. Znałem Barańskiego, wiedziałem, jakie filmy kręci i jakie scenariusze pisze, ale ten był wyjątkowy. Wydawało mi się, że niektórych scen nie da się zagrać wiarygodnie, a moim obowiązkiem było sprawić, żeby ta postać była prawdziwa. Zawsze chciałem, żeby było prawdziwie, najważniejsza w aktorstwie jest wiarygodność. Chyba już to mówiłem...

– **Mówiłeś... Co na przykład było nie do zagrania?**

– Niby jak miałem zagrać prawdziwie taką na przykład scenę... Braciszek kwestował po różnych parafiach i w tych parafiach nocował. Zdarzyło się, że zasnął przy modlitwie, bo było bardzo późno w nocy. Ksiądz proboszcz przychodzi i prosi, żeby już się nie modlił, tylko poszedł spać. Braciszek generalnie był dość upierdliwy. Ksiądz mówi: „Braciszku, dajcie już spokój i kładźcie się spać”. A ja mam taką kwestię: „Już, już, zaraz idę, pomodłę się tylko za zdrowie krowiny jednej biednej wdowy”. Za zdrowie krowiny!!! No, jak to zagrać? Przecież nikt tak nie mówi! Jak to zagrać, żeby nie być śmiesznym? Dla mnie to była potwornie śmieszna kwestia, a ona nie powinna być śmieszna. Tylko że podobno tak mówił ten prosty człowiek. Szczerze mówił. I takich kwestii było w tym filmie mnóstwo. Bardzo się bałem, czy dam radę...



Braciszek, reż. Andrzej Barański fot. archiwum Autora

– **Jednak zagrałeś.**

– Wyszło chyba niezłe. Okazało się, że Andrzej miał rację, że... trzeba wierzyć.

– **A co się działo u ciebie w tym czasie, kiedy reżyser czekał, aż znajdą się fundusze na nakręcenie *Braciszka*?**

– Oooo, dużo się działo! W 1995 roku zadzwonił do mnie producent Maciej Strzembosz z dziwną propozycją. Nie bardzo wiedziałem na początku, o co mu chodzi, bo powiedział, że składa mi propozycję, która najprawdopodobniej zupełnie zmieni moje dotychczasowe życie. Myśmy się właściwie nie znali, gdzieś kiedyś się spotkaliśmy... Zaproponował mi jedną z dwóch głównych ról w nowym serialu. Powiedział, że to będzie pierwszy w Polsce serial robiony taką metodą, że będzie kręcony na żywo przy udziale publiczności, w teatrze... Cały odcinek będzie rejestrowany za jednym zamachem. Gatunek – sitcom. *Miodowe lata*, czyli polska wersja amerykańskiego serialu *The Honeymooners* z lat pięćdziesiątych. Jeżeli chcę, to mogę sobie obejrzeć, on mi da kasety...

– **I jak zareagowałeś? Zawolałeś: „Tak, chcę odmienić swoje dotychczasowe życie”?**

– Nie, nie... powiedziałem, że się zastanowię. Nie chciałem się tak decydować od razu. Serial komediowy? Słowo „sitcom” trochę mnie odrzucało. Tym bardziej że wtedy pojawił się już *13 posterunek*, który mi się bardzo nie podobał. Uważałem, że aktorzy się tam po prostu wygłupiają, a nie grają. Z drugiej strony widziałem, że to jest pewna konwencja i że ludziom się to podoba. Nie będę dyskutował z gustami publiczności. Myślałem jednak, że ja bym nie chciał czegoś takiego robić. Równoległe pojawiły się pierwsze odcinki *Świata według Kiepskich* i to też nie był „świat”, który mnie zachwycał.

– **Wszyscy wiemy, że w końcu się zgodziłeś.**

– Poczekaj. Obejrzałem kasety tego amerykańskiego serialu. To było okropne...

Okropne! Jakies skecze właściwie. To nawet nie był serial, tylko ciąg jakichś skeczów. Czasami nawet śmiesznych, ale zupełnie nie moja bajka.

– **To co cię przekonało?**

– To, że reżyserem będzie Maciek Wojtyszko, którego przecież bardzo dobrze znałem. Zadzwoniłem do niego i zapytałem: „Maciek, o co tu chodzi? Ty chcesz robić coś takiego?”. Maciek powiedział: „Słuchaj, my będziemy to robić zupełnie inaczej. W żaden sposób nie chcemy kopiować tego, co widziałeś. To będzie polska wersja, wszystko się będzie działo w Polsce, poniżej pewnego poziomu nie zejdziemy, znamy się, rozumiemy, wiemy, co nam się podoba, a co nie”. I to mnie przekonało. Zdecydowałem się. Zaufałem Maćkowi. Dwóm Maćkom... Oni byli gwarancją, że nie będzie się czego wstydzić.

– **I zaczęła się praca nad *Miodowymi latami*...**

– Przeczytałem kilka polskich scenariuszy. Były... różne.



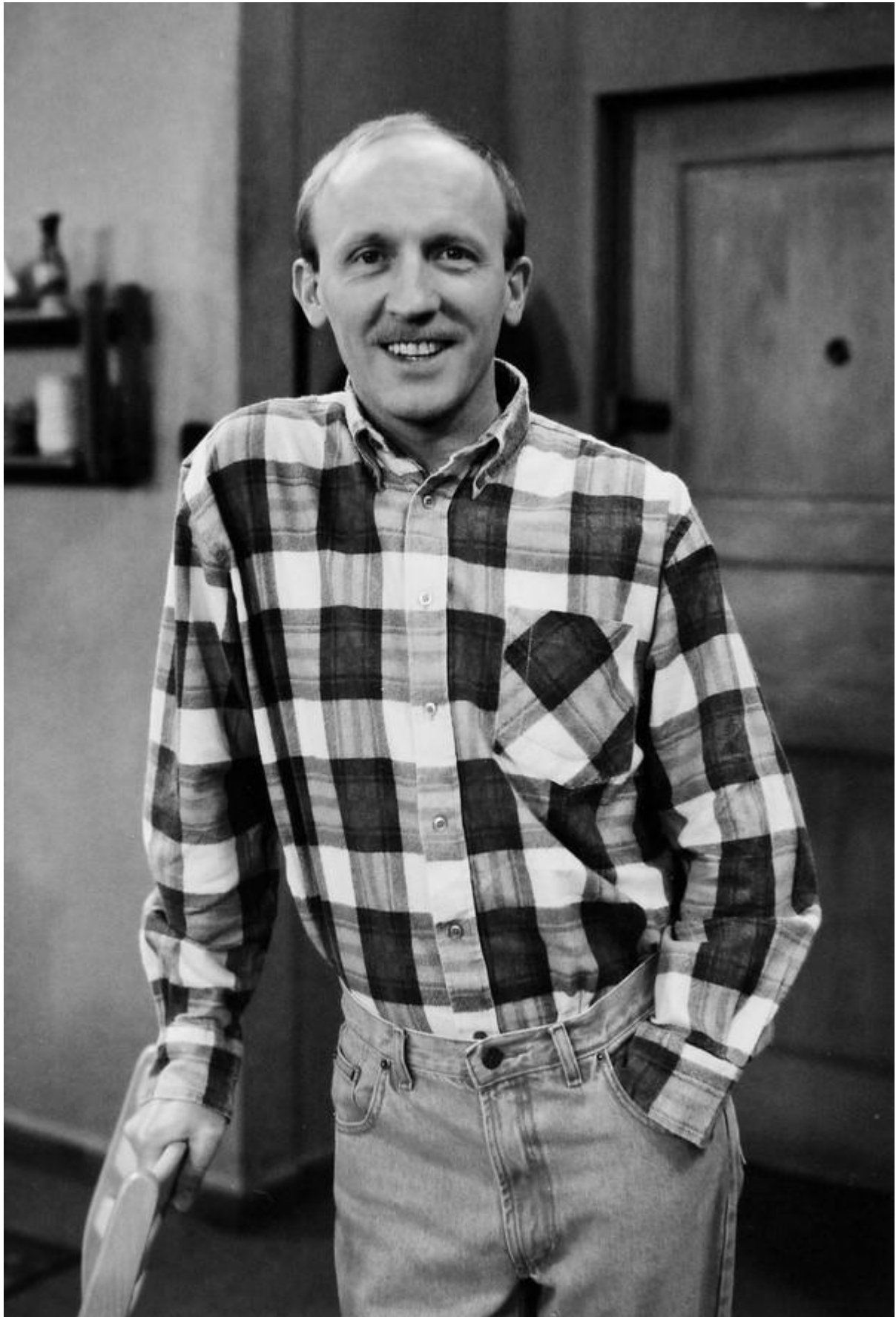
Miodowe lata, Cezary Żak i Artur Barciś fot. Krzysztof Wellman/Agencja eRBe

– **Znałeś obsadę?**

– Nie. Bardzo mnie interesowało, z kim będę grał. Odbyło się kilka castingów, a ja partnerowałem tym moim potencjalnym serialowym przyjaciółom. Bezapelacyjnie najlepszy był Czarek Żak. Właściwie go wtedy prawie nie znałem prywatnie. Spotkaliśmy się tylko kiedyś przy kręceniu *Pułkownika Kwiatkowskiego* Kutza. Dopiero przy *Miodowych latach* się zaprzyjaźniliśmy.

– **Jak się pracowało?**

– Zaczęły się przygotowania. Jak na żywo, to na żywo, trzeba się było perfekcyjnie przygotować. Wybrano Teatr Żydowski, bo miał scenę obrotową, na której można było umieścić kilka dekoracji. No i się zaczęło: wóz transmisyjny, cztery kamery, publiczność siedząca na widowni. Na tej widowni telewizory. Takie wielkie, ciężkie. Dziś pewnie byłyby to ekrany plazmowe... Chodziło o to, żeby widzowie mogli oglądać równocześnie to, co się dzieje na scenie i to, co filmują kamery. Reakcje, czyli śmiechy zza ekranu, były prawdziwe.



– **Jak ci się podobał pierwszy odcinek?**

– Bardzo mi się nie podobał. Ludzie się śmiali, ale mnie się wydawało, że to jest jakaś porażka. Myślałem nawet o tym, żeby się wycofać. Miałem wrażenie, że gram coś na siłę, że to jest jakieś wymyślone, nieprawdziwe... Że tak się nie da. Poza tym miałem potworną treść, bo pierwszy raz... No, ale jakoś nakręciliśmy ten pierwszy odcinek, a musieliśmy ich nakręcić trzynaście w jednej serii. Czyli że co tydzień trzeba oddać kolejny odcinek.

– **Pracowity czas**

– Tak. Od 10.00 do 14.00 próby w Ateneum, potem próby *Miodowych lat*, a wieczorem spektakl. Nagrywaliśmy w poniedziałki, żeby móc normalnie pracować w teatrze. Bardzo mi zależało, żebym nie musiał rezygnować z teatru. Pierwsze nagranie było bez publiczności o 15.00. Potem oglądaliśmy je i wyłapywaliśmy błędy. O 17.00 graliśmy już dla publiczności. Trzecie nagranie – o 20.00 – było najważniejsze.

– **To dobrze, że udało się pogodzić Miodowe lata z pracą w teatrze.**

– Tak, to był mój warunek. Dzięki temu mogłem normalnie funkcjonować jako aktor teatralny. Byłem pewien, że robię dobrze. Wiedziałem, że będzie się to łączyło z ciężką pracą, ale bardzo, bardzo nie chciałem odchodzić z teatru. Zdawałem sobie sprawę, że serial, który oglądają miliony, może zawrócić w głowie, można uwierzyć, że się jest genialnym i takie tam. Teatr zawsze zmusza do powrotu na ziemię.

– **Jak cię znam, znalazłeś sobie coś jeszcze...**

– (*śmiech*) Masz rację, tylko że to nie ja, a to coś znalazło mnie. Reżyseria. Zadzwoiła do mnie Basia Borys-Damięcka, która została dyrektorem Teatru Syrena, i zaproponowała mi, żebym u niej wyreżyserował sztukę pt. *Machiavelli, czyli cudowny korzeń*. Bardzo mi się ta propozycja spodobała. Sztuka miała konwencję, którą bardzo lubiłem... *commedia dell'arte*. Wymyśliłem wszystko od początku do końca. Fajnie wyszło. Pech chciał, że prawie zaraz po premierze był remont teatru. Wymyśliłem do tego przedstawienia bardzo uniwersalną dekorację... Taką machinę, która się obracała i rozkładała na różne sposoby. Raz była sypialnią, raz domem, ulicą, a nawet dwoma domami... I ta dekoracja wymagała sceny, na którą została zaplanowana. Teatr Syrena przeniósł się tymczasowo w inne miejsce i nie dało się tam jej grać. Bardzo żałuję, bo to naprawdę było dobre... Strasznie nieskromny jestem.

– **Mów szczerze to, co myślisz.**

– Nie lubię być nieskromny. Nie mam prawa dobrze oceniać tego, co robię, od tego są inni. Z drugiej strony wiem, że parę rzeczy mi się udało, na przykład bycie panem profesorem.

– **Proszę cię... Nie mów, że jeszcze coś wymyśliłeś...**

– Ja nic nie wymyślałem! Dostałem propozycję i ją przyjąłem. W szkole muzycznej na Bednarskiej uczyłem interpretacji piosenki. Poprosiłem wcześniej dyrektora Warmińskiego, żebym mógł z tymi moimi uczniami mieć zajęcia w Ateneum w czasie, kiedy teatr właściwie nie pracuje, czyli między 14.00 a 18.00. Zgodził się bez problemów. Na koniec każdego semestru przygotowywałem z młodzieżą muzyczny spektakl, w którym oni śpiewali piosenki, ale nie tylko. To nie były koncerty, gdzie każdy podchodzi do mikrofonu i śpiewa. Wszystko było inscenizowane i miało swoją dramaturgię. Rozmawiali ze sobą piosenkami.

– **Co to były za spektakle?**

– Pierwszym przedstawieniem semestralnym było *Kochać*. Program oparty na piosenkach Piotra Szczepanika. Był też spektakl z piosenek do muzyki Chopina, a nawet z samych piosenek reklamowych udało się zrobić fajny program. Już po śmierci dyrektora Warmińskiego, gdy

szefem Ateneum został Gustaw Holoubek, zrobiłem z nimi program złożony z piosenek Édith Piaf. Dyrektor Holoubek go widział i zaproponował mi, żebym zrobił coś podobnego dla naszego teatru.

– I tak powstało *Trzy razy Piaf*?

– Tak. Pomyślałem, że żeby opowiedzieć jakąś prawdę o tej genialnej artystce, trzeba ją przedstawić w trzech odsłonach. Pierwszą będzie młoda Piaf, która chodzi po ulicach Paryża i śpiewa nikomu nieznane piosenki. Grała ją Kasia Łochowska. Potem zakochana Piaf – czyli Kasia Groniec – u szczytu sławy śpiewa swoje największe przeboje. Trzecia część to stara schorowana Piaf – czyli Kryisia Tkacz – spuchnięta od lekarstw, zapominająca tekstu, ale unosząca się kilka centymetrów nad ziemią, kiedy zaczyna śpiewać.

Cała widownia Sceny na Dole była przebudowana na potrzeby tego spektaklu. Chciałem, żeby ludzie siedzieli przy stolikach i mieli wrażenie, że czas się cofnął. Żeby było tak jak w paryskich kawiarenkach, gdzie na stolikach palą się małe, nastrojowe lampki... Na premierze w kieliszkach było podawane wino. Potem, niestety, podawaliśmy tylko sok z czarnej porzeczki, bo okazało się, że nie wolno nam serwować alkoholu... To przedstawienie naprawdę się udało... Byłem z niego bardzo, bardzo dumny... Dziewczyny zagrały je ponad dwieście razy. Mam takich widzów, którzy byli po pięćdziesiąt razy na tym przedstawieniu... Pewnie bardziej z miłości do Piaf niż do mojego spektaklu, ale... Jakiś czas później zrobiłem wersję *Trzy razy Piaf* w Gorzowie Wielkopolskim i tam przedstawienie jest grane do dziś. Wcale nie gorsze niż w Warszawie.

– Wtedy powstał też twój recital, czyli *Gra*.

– Trochę wcześniej. Dziesięć lat po sukcesie we Wrocławiu zaproszono mnie na koncert byłych laureatów Przeglądu Piosenki Aktorskiej. Pojechałem tam z dwoma piosenkami, do których teksty napisał Marcin Sosnowski. Te piosenki i wykonanie tak się spodobały, że zaproponowano mi, żebym za rok wystąpił z własnym recitalem. Zabraliśmy się z Marcinem do roboty i tak powstała *Gra, czyli musical na jednego aktora*. Bardzo dużo zawdzięczam Marcinowi. To on napisał *Dykcję*, którą śpiewam do dziś. Właściwie to nie był recital, raczej muzyczny monodram. Akcja działa się na dwóch planach, za kulisami i na scenie. Piosenkami opowiadałem o aktorstwie. O tremie, o sypkach, czyli aktorskich wpadkach, o samotności artysty, o publiczności, o tym, jak trudno zagrać siebie, i że aktor musi grać, by żyć.

Bardzo pomógł nam Wojtek Młynarski, który dał mi kilka tekstów zupełnie bezinteresownie. Podobał mu się mój pomysł i zupełnie bezinteresownie подарował mi piosenki: *Jak artyści szli do nieba*, *Wdzięk i szyk*, *Już widziałem jak*, *Zagrać siebie*. Akompaniował mi Wojtek Kaleta ze swoim zespołem. We Wrocławiu to był wielki sukces i wtedy Warmiński włączył *Grę* do repertuaru Ateneum. Potem zegraliśmy to w radiowej Trójce i z tego materiału wyszła płyta: *Artur Barciś – Zagrać siebie*. Nakład jest już wyczerpany, ale można ją jeszcze dostać na Allegro.



Gra – musical na jednego aktora fot. Zygmunt Rytka

– **Trochę odeszliśmy od *Miodowych lat*. Kiedy polubiłeś ten serial?**

– Chyba po pierwszej serii. Kiedy po kilku odcinkach producenci zrozumieli, że my wiemy coś więcej o komedii i że warto nam zaufać, że nie zawsze musi być bardzo śmiesznie, ale za to może być szlachetnie i prawdziwie, wtedy naprawdę go polubiłem. Niektóre odcinki przerabialiśmy kompletnie... Były takie, które nie miały nic wspólnego z amerykańskimi. Zresztą większość odcinków to były oryginalne polskie scenariusze. Najważniejsze było to, że pomimo absurdalności niektórych sytuacji my mamy grać tak, jakby to była prawda, jakby tak mogło być. I oczywiście to był klucz do sukcesu, bo widzom wtedy nie przeszkadzały nawet ściany z dykty czy to, że momentami widać było, że to jest teatr... W niektórych scenach, na przykład kanałowo-garażowych, z daleka widać było, że to jest dekoracja. Okazało się, że widzom w ogóle to nie przeszkadza. Dla nich ważni byli ludzie i ich zabawne problemy, a nie tło. Serial odniósł ogromny sukces. Ogromny.

– **To prawda, widzowie byli wam wierni. Trochę tego nakręciliście...**

Nakręciliśmy... już nie pamiętam, ile serii... Wcałe nie tak dużo. W sumie sto trzydzieści jeden odcinków... Ale niektórzy myślą, że było ich z pięćset... Może dlatego, że ciągle je powtarzają. Mój problem polegał na tym, że im bardziej serial stawał się popularny, tym bardziej czułem, że wpadam w pułapkę. Pułapkę roli, która tak się wbija w świadomość widzów, że już nie chcą niczego innego, że chcą widzieć we mnie tylko Norka.

– **Ale grałeś przecież w tym czasie w teatrze. Tam też widzieli w tobie Norka?**

– Niestety, tak. W Ateneum zrobiliśmy *Wujaszka Wanię* Czechowa. Reżyserował Tomek Konina. Gdy dostałem tę rolę, byłem przeschęśliwy. Grałem z Piotrem Fronczewskim... *Wujaszek Wania* to arcydzieło, a ja grałem wujaszka Wanię... Niestety, bardzo trudno było mi się przebić przez widownię. Gdy wychodziłem na scenę, wszyscy szeptali: „Zobacz, zobacz,

Norek!”, „Ooo, Norek, Norek!”. Tak było prawie na każdym przedstawieniu... Straszne!

– **To cię nie przeraziło, nie zniechęciło do serialu?**

– To był dzwonek alarmowy. Zdałem sobie sprawę, że pomimo frajdy z *Miodowych lat*, pomimo przyjemności grania z Czarkiem Żakiem, Agnieszką Pilaszewską, Dorotą Chotecką, Kasią Żak czy innymi kolegami, frajdy pracy z Maćkiem Wojtyszką – ale i potem, gdy się zmieniali reżyserzy, bo był Wojtek Adamczyk, była Agnieszka Glińska – w pewnym momencie będę musiał to zakończyć. Groził mi syndrom aktora jednej roli. Zresztą Czarek myślał dokładnie tak samo. Wszyscy czuliśmy, że w teatrze już niczego nowego nie pokażemy, że zaczynamy się powtarzać... No i po pięciu latach pracy zgodnie podjęliśmy decyzję, że trzeba dać sobie spokój.

– **Nie było wam żal?**

– Może trochę... Zżyliśmy się. Dlatego potem jeszcze podjęliśmy próbę trochę innej wersji, bardziej serialu niż sitcomu... Czyli że nie na scenie, tylko w plenerach i prawdziwych wnętrzach, ale ta próba się nie udała. Serial miał tytuł *Całkiem nowe lata miodowe*. Niestety, publiczność tego nie kupiła... Przyzwyczała się do starej konwencji i nie chciała innej. Na dodatek w Polsce podzielili go na bardzo krótkie odcinki i zanim widz się zdołał wciągnąć, to już była przerwa i dziesięć minut reklam... Moi znajomi nagrali sobie jeden odcinek po drugim, wyrzucili wszystkie reklamy i czołówki i mają świetną zabawę.

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 12

DOREŃCZYCIEL NA RANCZU

– **Postanowiliście skończyć *Miodowe lata*. To dla wielu aktorów trudna decyzja.**

Pojawiły się jakieś nowe perspektywy?

– Tak, choć oczywiście wszystko poszło trochę inaczej, niż miało być. Postanowiliśmy się na jakiś czas rozstać zawodowo z Czarkiem, bo nie chcieliśmy, żeby nas ciągle razem kojarzono. Dla Czarka miało być napisane *Ranczo*, a dla mnie serial pt. *Doręczyciel*.

– **Ale produkcję tych seriali dzieli spory dystans czasowy.**

– Tak się porobiło, że *Ranczo* powstało dość szybko. W międzyczasie jeszcze był projekt filmu fabularnego pt. *2x2*. O dwóch braciach z których każdy miał jeszcze brata bliźniaka. Byli sierotami, wychowywali się w domu dziecka i w ramach eksperymentu w latach pięćdziesiątych te bliźnięta rozdzielono. Oczywiście ci dwaj bracia nie wiedzieli, że każdy z nich ma jeszcze brata bliźniaka i to był pretekst do różnych zabawnych sytuacji. „Moje” bliźniaki to byli bandzior i policjant, a Czarka – nedorozwinięty pijacek i ksiądz. Oczywiście wszystkich bliźniaków mieliśmy grać my dwaj. Niestety, nie doszło do realizacji filmu, ale z tego pomysłu urodził się inny, czyli bracia bliźniacy w *Ranczu*. Na początku Czarek miał grać jedną postać, już nie pamiętam – księdza czy wójta, ale Maciek Strzembosz zaproponował, żeby Czarek zagrał obie role, i to był genialny pomysł.

– **A twoja postać? Skoro mieliście odpocząć od siebie...**

– Ja nie miałem grać w *Ranczu*. Okazało się jednak, że pisanie scenariusza *Doręczyciela*

jakoś ciężko idzie, a produkcja *Rancza* już się zaczynała... Zadzwonili do mnie z propozycją, żebym się zastanowił, bo jest taka niezbyt duża rola, ale skoro jesteśmy w tej samej drużynie, to może bym zagrał sekretarza gminy, który nazywa się Czerepach.

– **I ty, na szczęście dla widzów, zgodziłeś się.**

– Nie... Odmówiłem. Powiedziałem, że nie chcę, że niech zostanie tak, jak się umawialiśmy, że poczekam sobie spokojnie na *Doręczyciela*. Poza tym wydawało mi się... że za sukces *Miodowych lat* mnie też się coś należy... Może to było niewłaściwe z mojej strony, ale tak właśnie myślałem. Że skoro Czarek gra w tym serialu główną rolę, to ja nie powinienem w nim grać roli drugoplanowej. Już się drugoplanowych ról w życiu nagrałem. Taka jakaś głupia pycha mnie opanowała. Strasznie głupi wtedy byłem, strasznie.

– **Co spowodowało, że zmieniłeś decyzję?**

– Zadzwoiła do mnie Ewa Andrzejewska, szefowa castingu, i zaczęła mi tłumaczyć, że nie wiadomo, co z tym *Doręczycielem* będzie, że jeszcze nie wiadomo, czy będą na to pieniądze, a tu jest serial, rola ciekawa, rozwojowa i na pewno da się coś z niej interesującego wykroić. Nie wiadomo wprawdzie, czy będzie kolejna seria tego *Rancza*, ale gdyby była, to może się okazać, że ten Czerepach to bardzo ciekawa postać. Ważne było również, że to był ktoś zupełnie inny niż Norek z *Miodowych lat*, karierowicz i manipulator, a ja takich ról prawie nigdy nie grałem. No i Ewa mnie przekonała.

– **Stworzyłeś genialnego Czerepacha. Moja znajoma powiedziała, że grasz go tak dobrze, że ona naprawdę cię nie lubi.**

– Możesz jej podziękować za komplement. To było właśnie w tej postaci najbardziej interesujące. Rzadko dostawałem role bohaterów negatywnych, a tu taka świnią. Zależało mi, żeby ten facet był zupełnie niepodobny do Norka. Musiałem się jakoś od tego Norka odbić. Wymyśliłem sobie peruczkę, sposób mówienia, chodzenia itd. Wojtek Adamczyk, który miał reżyserować *Ranczo*, zgodził się na to i tak zacząłem grać Czerepacha. Dla niektórych ciągle byłem jeszcze Norkiem... Pamiętam, jak jakiś podpity facet mi wygarnął: „Norek, ale się z ciebie szuja zrobiła”... Ale dla większości byłem już kimś zupełnie innym.



Ranczo. Czerepach na słynnej ławeczce. Obok mnie Sylwester Maciejewski, Piotr Pręgowski i Bogdan Kalus fot. Krzysztof Wellman/Agencja eRBe

– **Jesteś teraz ważną postacią w *Ranczu*.**

– Ta postać... jej losy to cała historia. Po pierwszej serii *Ranczo* nie odniosło wielkiego sukcesu. Konkurowało z *Tańcem z gwiazdami*, który był wtedy niezwykle popularnym programem. Właściwie prawie wcale nie było reklamowane i to był jeden z powodów, który sprawiał, że oglądalność była stosunkowo niewielka. W telewizji podobno zastanawiali się nawet, czy nie zrezygnować z emisji, że trzy i pół miliona widzów to za mało jak na *prime time* w niedzielę. Tak przy okazji przypomniała mi się definicja oglądalności według Maćka Wojtyszki. „Oglądalność jest to zasada, według której czterech ćwierćinteligentów znaczy więcej niż jeden inteligent”. Trafione, nie?

W końcu jednak zdecydowali, że nakręcimy jeszcze jedną serię. Tylko że cały czas wisiał nade mną ten *Doręczyciel*. Już niby mieliśmy kręcić, ale... Scenariusz takiego serialu jak *Ranczo* pisze się przecież z dużym wyprzedzeniem. Producenci powiedzieli scenarzystom: „Uwzględnijcie to, że Artur nie będzie miał dużo czasu, bo przejdzie do *Doręczyciela*, więc Czerepacha trzeba napisać do połowy serii, a potem gdzieś wysłać”. Dlatego Wójt wysłał swojego sekretarza do Brukseli na jakieś tam praktyki. Tylko że zdjęcia do drugiej serii *Rancza* się rozpoczęły, a pieniądze na *Doręczyciela* ciągle nie było.

– **Trochę pechowo.**

– Niestety. Ale z *Ranczem* się udało, bo przed emisją drugiej serii TVP puściła jeszcze raz pierwszą. I wtedy się okazało, że ten serial to jest wielki sukces. Drugi raz pokazywane odcinki zaczęło oglądać nagle siedem–osiem milionów ludzi. Druga seria miała już ogromną, ogromną widownię. Potem oczywiście zaczęła się trzecia seria, ja znowu byłem zaplanowany do

Doręczyciela, ale i tym razem niepotrzebnie. No i dopiero po trzeciej serii... Wtedy wreszcie się udało i zimą 2008 roku zaczęliśmy zdjęcia.



Doręczyciel fot. Krzysztof Wellman/Agencja eRBe

– ***Doręczyciel* miał tylko czternaście odcinków. Nie było kontynuacji.**

– Z wielkim bólem to przyjąłem... Ale cóż... Bardzo mi zależało, żeby tę rolę zagrać najlepiej, jak potrafię. Gruntownie się do niej przygotowałem. Spotykałem się z ludźmi upośledzonymi w podobnym stopniu co Janek. Przerobiłem całego siebie... To było wyzwanie. Rola życia. Niestety... Oglądalność *Doręczyciela* nie była nawet taka zła, ale... generalnie ten serial miał też mnóstwo błędów, więc przyjąłem z pokorą, że to już koniec.

– **Wróćmy do aktorstwa. Dla wielu ludzi wciąż jesteś aktorem komediowym.**

– Bo nie chodzą do teatru, a *Miodowe lata* są powtarzane w Polsce na okrągło. A tak poważnie, to ja niewiele mogę w tej sprawie zrobić. Nie mogę iść do reżysera i powiedzieć: „Przepraszam, chcę wyjść z szufladki aktora komediowego. Czy pan mógłby mi dać jakąś dramatyczną rolę?”. Nigdy tego nie robiłem i robić nie będę. Od dawna wiem, że ten zawód to loteria. Poza tym mam prawo sądzić, że jest sporo widzów, dla których jestem aktorem uniwersalnym. Z drugiej strony, jeśli ludziom podoba się, jak gram w komediach, to chyba dobrze. Wcale nie uważam, że komedia to coś gorszego niż dramat. A jeśli komuś przyjdzie do głowy, że może mi powierzyć poważną rolę, to to zrobi.

– **Tak jak Wiesław Saniewski w *Bezmiarze sprawiedliwości*?**

– O, właśnie! Nie znaliśmy się właściwie, parę razy się gdzieś spotkaliśmy... Zadzwonił do mnie, że napisał scenariusz dramatu sądowego i chciałby, żebym zagrał prokuratora, który jest trochę poszarpany życiowo, miota się... Zgodziłem się od razu. Przysłał mi scenariusz, którym

się zachwyciłem. Rola była świetna, niejednoznaczna, takie lubię najbardziej. Poza tym bardzo cenilem Wieśka i byłem mu wdzięczny, że pomyślał o mnie. W tym czasie grałem prawie wyłącznie w komediach.

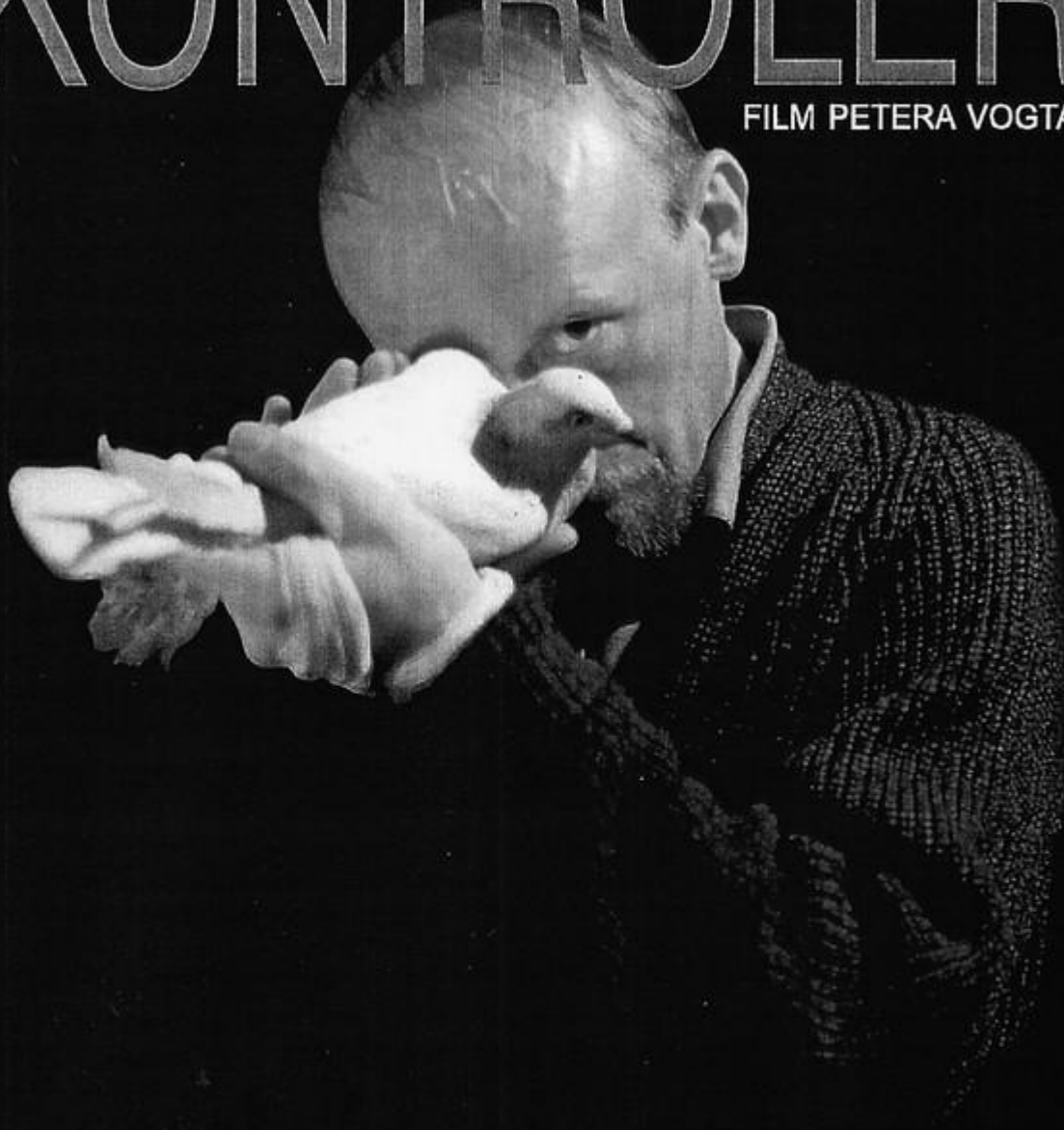
– **Zdarzało ci się zgadzać na coś w ciemno i nie żałować?**

– W ciemno można się zgodzić tylko wtedy, gdy się ufa reżyserowi. Tak było z Andrzejem Kondratiukiem i jego *Córą marnotrawną*. Scenariusz powstawał na bieżąco, więc nie mogłem go wcześniej znać. Prawie cały film nakręciliśmy u Andrzeja w piwnicy. Niesamowita przygoda. Często grałem w etiudach studenckich. Scenariusz to była nieraz kartka papieru, ale jeśli pomysł mi się podobał, to grałem. Czasem za półdarmo albo zupełnie za darmo, jeśli rola była tego warta... Ooo, chyba nic nie mówiliśmy jeszcze o *Kontrolerze*?

PAŃSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA FILMOWA, TELEWIZYJNA I TEATRALNA W ŁODZI PREZENTUJE

KONTROLER

FILM PETERA VOGTA



występują:

Artur Barciś

Michał Gadomski

Mariusz Pilawski

Teresa Dzielska

Jaśmina Plencer i inni

– **Nieee.**

– Właśnie! *Kontroler!* Jeden z ważniejszych filmów w moim życiu... To był film dyplomowy studenta łódzkiej filmówki Petera Voghta. Niemca. Przywiózł mi ten scenariusz do teatru i łamaną polszczyzną powiedział, że chce, żebym zagrał w jego filmie główną rolę. To miał być taki czterdziestominutowy film, którego bohaterem był kanar, czyli kontroler biletów w tramwajach. Samotny, żona go opuściła... W sumie miała rację... Człowiek zaskorupiony w swoich poglądach. Konserwatysta. Żył w świecie, w którym ludzie dookoła byli niemoralni, zachowywali się obrzydliwie, a on musiał ich znosić. Któregoś dnia do jego mieszkania włamał się sąsiad – tę rolę grał Michał Gadowski – silny, przystojny, młody mężczyzna, którego na klatce schodowej często widywał. Pił, kradł, co chwilę miał inną dziewczynę... Mój bohater miał swoje zasady moralne. Denerwowało go, że świat ciągle te zasady łamie.

W czasie bójkę telewizor, który tamten chciał ukraść, spada na głowę chłopaka i on traci przytomność. Mój bohater przywiązuje go do krzesła, wlecze go na strych... Tam to krzesło jeszcze przywiązuje do słupa i... zaczyna go uczyć żyć. Robi mu wykłady, jak powinien postępować, co jest w życiu dobre, a co złe... Mówi temu chłopakowi, że jest po złej stronie i że jeszcze nie jest za późno, bo on teraz mu powie, jak to trzeba naprawić...

Pewnego dnia ten więziony wyzwala się. Trzyma w ręku metalową rurkę i mógłby się zemścić, ale tego nie robi. Mój bohater postanawia się powiesić, ale nawet to mu się nie udaje, bo sznur się urywa i... kolejna porażka. Film kończy się tak, że nie wiadomo właściwie, co on ze sobą robi. Bardzo dramatyczna rola... Sam też nie był w porządku... No, ale nie będę opowiadał całej treści...

– **Brzmi ciekawie. Chętnie obejrzę, bo przyznam, że nie widziałam jeszcze tego filmu... No dobrze, nigdy o nim nie słyszałam.**

– Za tę rolę dostałem moją jedyną filmową aktorską nagrodę. *Kontroler* brał udział w Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Down Under w Darwin, organizowanym przez Australijskie Stowarzyszenie Filmowców. Zostałem tam nominowany do nagrody za najlepszą męską kreację. Potem przyszła wiadomość, że wygrałem i dostałem nagrodę dla najlepszego aktora... Bardzo to było miłe. Dostałem nawet statuetkę, którą przysłali do szkoły filmowej, bo nie znali mojego adresu.

Tyle że w Polsce nikt się tym nie zainteresował. Żaden, nawet fachowy, periodyk o tym nie napisał. Nikt nie wspominał, że polski aktor dostał główną nagrodę na międzynarodowym festiwalu. Nawet kiedyś spotkałem jakiegoś redaktora – chyba z „Filmu” – i tak z głupia frant zapytałem, dlaczego ich to nie obchodzi. Odpowiedział, że to za mało znany festiwal. A ja chciałem, żeby ktoś o tym napisał nie dlatego, żeby mnie chwalić, tylko żeby ludzie wiedzieli, że gdzieś tam w Australii docenili polskiego aktora. Czy tak wielu polskich aktorów dostaje nagrody na międzynarodowych festiwalach?... Nie napisali. Trudno. Ale to był ważny film... Dobry. Chyba nigdy nie został pokazany w polskiej telewizji – poza Canal+ jakoś tak o północy. O ile wiem, nie śledzę przecież wszystkiego...

N.T. Filmmakers ASSOCIATION

Best Male Actor

awarded to

ARTUR BARCIS

for his Brilliant Performance in "THE CONDUCTOR"

NORTHERN TERRITORY
"DOWN UNDER"

International
FILM FESTIVAL
Darwin Australia, 2003



Dyplom z Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Down Under w Darwin w Australii fot.
archiwum Autora

– **Bezmiar sprawiedliwości też pozwolił ci pokazać inną twarz. Byłam na premierze tego filmu, ale żałuję, że tak mało osób mogło cię zobaczyć w roli tego prokuratora...**

– *Bezmiar sprawiedliwości* też miał dziwne losy. Przegrał o trzy głosy Nagrodę Dziennikarzy na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni. O trzy głosy! Z *Placem Zbawiciela*. Od jury nie dostał żadnej nagrody... Żadnej. Potem był pokazywany w jednym kinie w Warszawie. Krótko. A najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to – właściwie nie śmieszne, tylko przykre – że nakręcona została też wersja telewizyjna. Miniserial czteroodcinkowy, który pierwszy raz został wyemitowany... dopiero teraz! Kilka dni temu. O wpół do pierwszej w nocy! Nie wiem, dlaczego ten film tyle lat przeleżał na półkach. Telewizja wyprodukowała świetny film, a potem nie chciała go pokazać. W dzisiejszych czasach? Dziwne, nie? A moja rola w *Bezmiarze*? Bardzo lubię takie niejednoznaczne postaci... Nie wiadomo, czy on jest dobry, czy zły... Taki człowiek szamoczący się między prawdą a strachem przed kompromitacją.

– **Były jeszcze jakieś role, które odbiegały od wizerunku aktora komediowego? Chodzi mi o role mniej znane...**

Może rola w Teatrze Telewizji, w *Dniu przed zachodem* Janusza Andermana w reżyserii Marii Zmarz-Koczanowicz. Zagrałem tam... mojego nieżyjącego brata. W Ateneum zagrałem główną rolę w *Mojej córce* Tadeusza Różewicza w reżyserii Marka Fiedora. Poza tym to właściwie nie dostawałem propozycji ról dramatycznych... Nie tracę nadziei, bo, jak mówiłem, ten zawód to loteria i nigdy nie wiadomo, co się zdarzy jutro...

Książka dla Anna Gorecka

Rozdział 13

DOWIEDZIEĆ SIĘ CZEGOŚ O SOBIE

– **Teraz wiele osób pisze blogi, prowadzi swoją stronę internetową, ale ty robisz to chyba od ponad dziesięciu lat. Byłeś jednym z pierwszych.**

– Nie wiem, czy byłem jednym z pierwszych, ale faktycznie w tym roku minęło dziesięć lat. Wtedy Internet nie był jeszcze tak popularnym medium jak w tej chwili. Robiłem chyba prezentację dla jakiejś firmy czy coś takiego – nie pamiętam dokładnie – i tam spotkałem informatyka, który zaproponował, że zrobi mi stronę internetową. Ja nawet nie bardzo się wtedy domyślałem, o co mu w ogóle chodzi.



Strona internetowa: www.barcis.pl – **Ale na szczęście się zgodziłeś, zaryzykowałeś nowinkę.**
 – Powiedział: „Wie pan, aktor powinien mieć swoją wizytówkę w Internecie. Trzeba iść z duchem czasu”. Zawsze lubiłem wszelkiego rodzaju nowości. Moja żona mówi, że jestem gadżeciarzem. I to chyba prawda. Bardzo lubię się bawić nową komórką czy tabletem. Uwielbiam takie rzeczy! Trochę się martwię, że jak już umrę, to nie będę wiedział, co nowego wymyślili (*śmiech*).



Strona internetowa: www.barcis.pl – **Musiał ci to zatem sprawiać dużo radości...**
 – W życiu się nie spodziewałem, że tak wiele. Maciek – bo potem się zaprzyjaźniliśmy – założył mi stronę www.barcis.pl – i tak się zaczęło. Jej częścią było forum – ale takie bardzo

prościutkie, bez żadnych zabezpieczeń. Każdy, kto chciał, mógł sobie coś na tym forum napisać.

– **Nie bałeś się tego, co ludzie, korzystając z anonimowości, jaką daje Internet, mogą wypisywać?**

– A co mi mogli zrobić? Poza tym ja naprawdę chciałem wiedzieć, co ludzie o mnie myślą. W takim wstępniku na pierwszej stronie napisałem: „Otwieram to miejsce, bo chcę się dowiedzieć czegoś więcej o sobie”. Wiesz, ja bardzo lubię kontakt z ludźmi. Naprawdę to lubię. Nigdy się nie odwracam, gdy ktoś chce mi coś powiedzieć na ulicy czy gdzieś... Czasem ludzie mnie zaczepiają, chcą porozmawiać, i ja to lubię. Nie zawsze mam czas, bo ciągle się gdzieś śpieszę, ale bardzo sobie cenię te uwagi widzów. Są dla mnie ważne. Nawet jeśli są to uwagi krytyczne, a może zwłaszcza wtedy. I jeżeli ktoś chciał ze mną porozmawiać, a nie miał innej możliwości, to mógł to zrobić na tej mojej internetowej stronie. Z wielkim zdziwieniem zauważyłem, że coraz więcej ludzi tam zagląda. Mało tego, są tacy, którzy bywają tam codziennie.

– **Ale ty jesteś strasznie zabiegany. Kiedy znajdowałeś na to czas?**

– Nie miałem czasu, ale powoli zaczęło mnie to wciągać i stało się chyba... pasją. Z Bebą ustaliłem, że będę miał taką wieczorną godzinkę dla siebie. Wtedy sprawdzałem pocztę i byłem obecny na forum. Okazało się, że zawsze około 23.00 w nocy gromadziła się tam wraz ze mną spora gromadka internautów. Oni to nazwali „Barcisiową godziną”.

– **Każdy mógł z tobą „porozmawiać”? Nie trafiali się tacy, którzy chcieli cię tylko opluć?**

– Zdarzały się oczywiście posty różnych oszołomów, którzy pisali: „Ty marny aktorzyño, czego ci się jeszcze zachciało, czytasz te głupoty, które ci wypisują twoi lizodupce...” i różne takie „opinie”. Już wtedy Internet właściwie gwarantował bezkarność... Oczywiście to, co się teraz dzieje, jest z tym nieporównywalne... Wtedy to były skromniutki początki.

– **Dużo było takich osób?**

– Mało. Tak uważam, bo jak na sto normalnych wpisów jeden się taki trafił – to było wszystko. Poza tym zdarzały się krytyczne opinie, które były naprawdę merytoryczne. Często brałem je pod uwagę.

– **Ale twoja strona zmieniała się przez te lata. Kto to robił?**

– Oni. Zjawiali się coraz to nowi wolontariusze, którzy chcieli mi pomóc i do dzisiaj pomagają. Jasse, Matysola, Nagietek, Spinka, Dośka, Imora... Mnóstwo wspólnych ludzi, z których spora część została moimi przyjaciółmi. Wprowadzają jakieś zabezpieczenia, zmiany... Teraz to jest już chyba piąta odsłona www.barcis.pl.

– **A co to jest „złot”?**

– Ach, złot to jest odrębna przygoda. Co roku latem najaktywniejsi uczestnicy forum spotykają się w tak zwanym realu. Oczywiście na moje zaproszenie. Zaczyna się od wizyty w teatrze na jakimś moim nowym spektaklu, a potem biesiadujemy przy ognisku do białego rana. To są cudowne chwile. Spotykają się ludzie, którzy wcześniej znali się tylko z tych wpisów na mojej stronie. Niektórzy przyjeżdżają z odległych zakątków Polski, ale nie tylko... Także z Niemiec, Anglii, nawet z Australii.



Zlot fot. archiwum Autora

– **Pisałeś i piszesz na www.barcis.pl, ale to nie jest twoje jedyne pisanie...**

– Jakiś czas temu zacząłem pisać teksty do lokalnej gazetki u nas w Choszczówce – pod tytułem: *Felieton jak najbarciś kulturalny*.

– **Sam wymyśliłeś tytuł? Bardzo zabawny.**

– Sam. Trochę nieskromny może, ale niech tam. Wziął się od różnych neologizmów związanych z moim nazwiskiem: „jak najbarciś”, „tym barciś”, „jeszcze barciś” itp. Wymyślił to Piotrek Machalica. Nie opowiadałem ci o tym?

– **Jasne, że nie!**

– To się zaczęło kiedyś, w dawnych czasach, gdy byłem jeszcze w Narodowym. Spotykaliśmy się po spektaklach na tak zwane „omówienie”. Taka towarzyska impreza przyjaciół. Miałem już wtedy prawo jazdy, ale nie miałem samochodu, a uwielbiałem jeździć. Zawsze na jakichś bankietach zgłaszałem się od razu, że mogę nie pić i odwozić wszystkich samochodem. Kiedyś siedzieliśmy po spektaklu u Tiny i przyjechał Piotrek Machalica. Mówię: „Piotrek, nie ma alkoholu, ty masz auto, musisz jechać”. Był stan wojenny... Ostatnia rzecz, na jaką Piotrek miał ochotę, to usiąść za kółkiem, więc powiedział do mnie: „O nie Arturku, nie obarcisz mnie tym”. Wyjął kluczyki od swojego „malucha” i... nie miałem wyjścia. Powiedzieli, że mam jechać na plac Zbawiciela, bo tam bez problemu można było od kogoś kupić wódkę.

Nigdy tego nie robiłem... Nie wiedziałem nawet, jak to się robi. Ale koledzy mi wytłumaczyli, że trzeba podjechać na ten plac Zbawiciela, otworzyć okno i wystawić tyle palców, ile butelek chce się kupić. Podjechałem, otworzyłem okno i wystawiłem dwa palce... Tylko zupełnie nie skojarzyłem, że wystawiłem je jako znak „V”... Znak Victorii, który przecież był symbolem zwycięstwa „Solidarności”... Mnie oczywiście do głowy nie przyszło, że tak to

może być odebrane... Chciałem kupić dwie butelki wódki. Nagle zamarłem, bo nade mną stanęło dwóch milicjantów. Jeden z nich zapytał: „Obywatel kontestuje czy po wódeczkę podjechał?”. Jedno i drugie było przestępstwem. Zrobiłem jakąś głupią minę, poczułem, że zaraz będę miał pełne spodnie, pomyślałem, że już po mnie... ale milicjant pochylił się tylko i wyszeptał: „Jak po dwie żytynie, to zapraszamy”. Nie wiedziałem, czy oni poważnie, czy żartują... Czy nie zamkną mnie za chwilę... Ale okazało się, że jak najbardziej poważnie w suce mieli całą skrzynkę. Kupiłem, zapłaciłem i zostałem bohaterem dnia! Nocy właściwie... Jak widać, każdy chciał jakoś dorobić wtedy. Milicjanci też.

– **Niezła historia... I tak zaczęło się tworzenie neologizmów z twoim nazwiskiem?**

– Tak, wtedy to się zaczęło... Ale dlaczego ja zacząłem o tym mówić?

– **Felieton jak najbarciś kulturalny.**

– Aha! No więc pisałem te felietony i za zgodą redakcji umieszczałem je na mojej stronie internetowej. Okazało się, że moje wycieczki czytał Tomek Wróblewski, który mieszkał wtedy w Choszczówce. Jako naczelny „Newsweeka” zaproponował mi, żebym pisał też felietony do jego tygodnika. I tak się stało. Przez rok pisałem w „Newsweeku” felietony pod wspólnym tytułem *Okiem błazna*. Bardzo mi to wspominać. Chociaż... byłem tylko aktorem, wchodziłem na nie swoje podwórko. Bardzo się bałem, czy podołam, czy dam radę... Ale podjąłem wyzwanie i pisałem. Z niektórych felietonów jestem bardzo dumny. Inne pewnie mniej mi się udały. To było coś nowego, zupełnie nowe doświadczenie. W nawale pracy wiedziałem tylko, że w czwartek muszę wysłać felieton do redakcji...

– **Nie zawsze jest to łatwe.**

– Łatwe? To był horror! Zdarzało się, że siadałem po spektaklu przed pustą kartką ekranu komputera i nie miałem pojęcia, o czym mam pisać... A wiedziałem, że za kilka godzin ta pusta kartka musi się zapełnić literami! I jeszcze musi to mieć jakiś sens... Przecież potem będzie pod tym tekstem podpis: Artur Barciś.

– **Lubiłeś to?**

– Mimo wszystko lubiłem. Ciągle przecież coś piszę. Pewnie z potrzeby kontaktu z ludźmi... i dlatego, że lubię się sprawdzać także w innej dziedzinie twórczości... Stąd się wzięło malowanie i te moje aniołki dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy czy na rzecz innych akcji. Stąd się wzięły bajki... baśnie właściwie... opowiadania... Parę ich napisałem...

– **Czemu nie wydajesz swoich bajek?**

– Może kiedyś wydam. Na razie jest ich jeszcze za mało na całą książkę. Musiałbym jeszcze napisać... co najmniej siedem.

– **To pisz!**

– Czasem siadam i piszę. Tylko że... nie mam czasu. Aktorstwo zawsze jest na pierwszym miejscu. Jeśli nie ma przymusu, to ciągle jest coś ważniejszego. Może jak przestaną mnie angażować, to się „barciś” przyłożę...

– **Jakie to bajki?**

– Takie... trudne raczej. Ich bohaterami są dzieci, którym dzieje się krzywda albo mają jakieś marzenia, które wydają się niemożliwe do spełnienia, albo są chore i bardzo chcą wyzdrowieć... To raczej nie są bajki dla dzieci.

– **Przecież bajki czytają dzieciom dorośli. Ci dorośli sami też się czegoś uczą, coś poznają...**

– Mam nadzieję...

– **To ja chcę bajkę na ostatni rozdział książki.**

– To może *Trzecia nuta i część całości*. Jest w niej trochę mnie samego...

Książka dla Anna Gorecka

Artur Barciś

TRZECIA NUTA I CZĘŚĆ CAŁOŚCI

Studnia była bardzo głęboka. Chłopiec stał na jej dnie i patrzył bezradnie do góry. Okrągły skrawek nieba wyglądał jak jakaś dziwna, niebieska lampa. W powietrzu czuć było woń stęchlizny i chemikaliów.

„W studni powinna być woda” – pomyślał. Ale wody nie było, tylko wilgoć. Po omszałych ścianach spływały kropelki rosy. Nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Gdyby upadł z takiej wysokości, z pewnością już by nie żył albo przynajmniej miał jakieś obrażenia, a jego tylko trochę bolała głowa. Nie czuł strachu. Był dzielnym chłopcem i podświadomie czuł, że nic złego mu się nie stanie. Tyle że sytuacja wyglądała dość beznadziejnie i trzeba było coś zrobić. Może mama i tata nie wiedzą, że tu jest, i powinien im dać jakiś znak. Chciał krzyknąć, ale okazało się, że nie ma głosu. Otwierał usta, ale mimo wysiłków, z gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Spróbował wdrapać się po betonowej ścianie studni, ale nic z tego. Nie znalazł choćby małej szczeliny, na której mógłby się zawiesić. Rozglądając się uważnie, zauważył tylko, że część ściany miała inny kolor. Dookoła było szaro i ciemno, a w jednym miejscu coś w kształcie koła miało kolor zielony. Może to jest jakaś szansa? Podeszedł bliżej i dostrzegł, że w samym środku koła znajduje się inne małe kółeczko, tyle że czerwone. Wyglądało jak przycisk do... czegoś. „Tylko do czego?” – zastanawiał się chłopiec. Drżącym palcem nacisnął czerwony punkt. Coś zaskrzypiało, zachrobotało i zielone koło zniknęło, tworząc wejście do niezwykłego tunelu. Chłopiec wszedł do niego bez wahania. Tunel był wąski i trzeba się było poruszać na czworakach, ale dawał nadzieję na jakieś wyjście. Na dodatek nie było w nim już tak ciemno jak w studni, bo jego ściany świeciły delikatnie fosforyzującym blaskiem. Chłopiec czołgał się dzielnie, choć tunel był kręty i wąski. Wiedział, że na jego końcu coś musi być. „Każdy tunel jest przecież po coś i musi mieć jakiś koniec” – pomyślał. Niestety, wyglądało na to, że akurat z tym tunelem jest coś nie tak, bo chłopiec czołgał się i czołgał, a żadnego końca nie było widać.

„Może by tak wrócić do studni i poczekać na pomoc?” Bardzo szybko odrzucił tę myśl, bo tunel był zbyt wąski, żeby można się było odwrócić, a czołganie się na czworakach do tyłu zupełnie mu się nie uśmiechało. Na szczęście cierpliwość chłopca została wkrótce nagrodzona. Tunel co prawda się nie skończył, ale był coraz mniej poziomy, aż w końcu zamienił się w rurę łagodnie opadającą w dół, niczym zjeżdżalnia na przyszkolnym basenie. Wody w rurze nie było, ale powierzchnia ścian była bardzo gładka i swobodnie można się było puścić w dół. Nie zastanawiał się ani trochę i już po chwili jechał na brzuchu, uradowany, że wreszcie może odpocząć. „No, to mi się podoba!” – krzyknął bezgłośnie – bo jazda w tunelu była naprawdę

bardzo fajna. Trochę przestało mu się podobać, kiedy rura zaczęła biec coraz bardziej stromo, a uśmiech zupełnie znikł z jego twarzy, kiedy nagle zrozumiał, że pędzi głową w dół z ogromną prędkością. „Aaaaaa” – chciał krzyknąć rozpaczliwie, ale ciągle nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Kiedy pomyślał, że to już koniec, rura nagle się skończyła. Odruchowo zamknął oczy. Był pewien, że zaraz uderzy głową w jakieś coś i roztrzaska się jak pomidor, ale nic takiego się nie stało. Wtedy poczuł, że szybuje w powietrzu i już nie głową w dół, a w górę. Jakby jakiś ogromny clown wypluł go z czarodziejskiej rurki. Otworzył oczy. Otaczała go jasna, ogromna przestrzeń. Czuć było zapach kwiatów, lodów migdałowych, które uwielbiał, i jeszcze czegoś, co znał, ale nie potrafił tego w tej chwili nazwać. Rozglądał się dookoła i chociaż to, co widział, nie przypominało niczego, co znał wcześniej, czuł się całkowicie bezpieczny. Przeszłość tworzyły ogromne płachty falującego, atlasowego jedwabiu w pastelowych kolorach. Unosił się na ich powierzchni jak motyl i... było mu dobrze. Bardzo dobrze. Chciało mu się spać i nawet pomyślał, że mógłby się chwilę zdrzemnąć na tej gigantycznej poduszce, ale nagle wszystko się zmieniło. Złowrogi świst przeciął powietrze i atlas, na którym unosił się chłopiec, rozstał się, jakby ktoś rozciął go od dołu monstrualnym skalpelem. Chłopiec zdążył jeszcze zauważyć, że na powierzchni tkaniny pojawiły się kropelki krwi i runął w dół. Był tak przerażony, że nawet nie zdążył spróbować krzyknąć. Spadał w ciemną otchłań jak worek kamieni.

Pierwszy ekran zauważył, gdy już go właściwie minął. Zarejestrował tylko, że film przedstawiał jego mamę robiącą dziwne miny w jego kierunku. Jak przez mgłę zaczął kojarzyć, że tak właśnie zachowywali się wszyscy dorośli, kiedy był bardzo mały i leżał w wózku dla niemowląt. Spadając, zobaczył kolejny ekran, a na nim trumnę, w której leżała martwa kobieta.

Chłopiec rozpoznaje swoją babcie. Ojciec podnosi go i nakłania do pocałunku w czoło babci. Chłopiec nie chce. Zaczyna płakać i gwałtownie przytula się do ojca.

Znowu jakiś film. Szkoła. Chłopiec pisze coś na tablicy. Nagle kreda wypada mu z rąk. Nauczyciel krzyczy. Klasa się śmieje. Chłopiec mdleje.

Na kolejnym ekranie jakiś pan, chyba lekarz, mówi coś smutnym głosem do mamy. Mama płacze. Koniec filmu.

Spadanie. Ciemność. Już nie ma ekranów, tylko pustka i mrok. I znowu wilgoć, jak ta w studni, a po chwili uderzenie całym ciałem w taflę wody.

„No, to już naprawdę koniec” – pomyślał chłopiec z przerażeniem. Nie umiał pływać. Tysiące razy próbował się nauczyć, ale zawsze, kiedy tracił grunt pod nogami, wpadał w panikę i natychmiast zapominał o uwagach instruktora. Teraz tonął i wiedział, że już nic go nie uratuje. Odruchowo zacisnął usta, choć czuł, że powietrza, które miał w płucach, wystarczy mu zaledwie na kilkadziesiąt sekund. Opadał wolno w głęboką toń, bez żadnej nadziei na ratunek. Gdyby napotkał jakieś dno, może byłby się odbił i złapał jeszcze chwilę życia. Ale dna nie było. Jak okiem sięgnąć, tylko woda i woda. Zauważył, że miała jasnozielony kolor i, co dziwne, nie traciła światła, mimo że chłopiec ciągle opadał w głębinę. Bardzo lubił filmy przyrodnicze i pamiętał, że im głębiej nurkowie schodzili pod wodę, tym bardziej robiło się ciemno. Tutaj było wręcz odwrotnie. Robiło się coraz widniej, woda miała już barwę seledynową i jaśniała z każdym metrem. Na dodatek do jego uszu zaczęły dochodzić jakieś dźwięki. Nigdy w życiu niczego takiego nie słyszał, ale jedno wiedział na pewno. To, co słyszał, było piękne. Muzyka! Tak! Słyszał muzykę! Zauważył też, że wokół niego zaczęły się gromadzić jakieś dziwne stwory. Poruszały się płynnie, przyglądając mu się uważnie. Do pewnego stopnia przypominały ludzi, bo miały ludzką głowę i tułów, tylko zamiast rąk i nóg – rozłożyste, zielone, falujące płetwy. Zbliżały się do niego i oddalały, jakby przeprowadzały jakieś badanie. Były przyjazne, a na ich wodnistych twarzach malowało się coś na kształt uśmiechu. Chłopiec otworzył usta ze zdziwienia i dopiero po chwili dotarło do niego, że wcale się nie dusi! To było niezrozumiałe

i niesamowite! Oddychał wodą! Być może to wcale nie była woda, tylko coś, co tylko było do wody podobne, ale chłopiec nie miał nawet chwili, żeby się nad tym zastanowić, bo tymczasem zielone stwory otoczyły go i utworzywszy z welonowatych płetw coś w rodzaju kielicha albo wielkiego kwiatu, uniosły w górę, wirując wolno w rytm coraz piękniejszej muzyki. Chłopiec poczuł jakąś dziwną błogość. Obracający się niby-wodny świat powoli zamykał jego powieki, a przecudowna muzyka dopełniała reszty. Zasnął.

Obudził się w ogromnej jasnozielonej sali. Leżał na jakimś dziwnym materacu, który jak poduszkowiec unosił się w powietrzu. To było pierwsze, na co zwrócił uwagę. Dookoła nie było już tej niezwyklej, pozwalającej oddychać, niby-wody, tylko zwykłe powietrze, jakim oddychał na co dzień. Zauważył też, że coś dziwnego stało się z jego ciałem. Było bezwładne. Nie był przywiązany żadnymi pasami ani sznurami, a mimo to nie był w stanie się poruszyć. Leżał jak kłoda na wyściełanym białym prześcieradle, dziwnym łożu i zastanawiał się, o co tym razem chodzi. Po co to wszystko? „Co Oni ze mną robią?” Nie czuł strachu, bo wiedział, że Oni nie chcą mu zrobić krzywdy. Wręcz odnosił wrażenie, że chcą mu pomóc. Tylko dlaczego nie odwieżą go po prostu do domu, tylko trzymają nieruchomego jak naleśnik na tym głupim materacu?

Nagle sufit nad jego głową rozstał się, a oczom chłopca ukazała się znajoma twarz. Nie pamiętał co prawda, skąd ją zna, ale był pewien, że już gdzieś ją kiedyś widział, i to całkiem niedawno. Twarz uśmiechnęła się do niego. Było w niej coś ujmującego i dobrego. Nie poruszała ustami, nie wydawała żadnego dźwięku, a mimo to chłopiec wiedział, że słowa, które właśnie dochodziły do jego umysłu, pochodzą właśnie od niej.

– Witaj, Janku. Wiem, że jesteś dzielny i mądrym chłopcem. Dlatego jestem pewien, że nam się uda. To bardzo trudne, ale jeśli nam pomożesz, wszyscy będziemy szczęśliwi.

– Ale o co chodzi? – zapytał chłopiec, zauważając jednocześnie, że i on w tej dziwnej rozmowie nie porusza ustami, a jedynie wysyła własne myśli.

– Zaraz się dowiesz. Otóż, nie jesteś zwykłym chłopcem. Jesteś chłopcem wyjątkowym. W twojej głowie jest coś, co jest nam bardzo potrzebne i musimy to z niej wydostać. Tobie jest to zupełnie zbędne, a dla nas jest bardzo cenne. Problem w tym, że nie jesteśmy w stanie tego wyjąć bez twojej pomocy.

– A jak Wam pomogę, będę mógł wrócić do mamy i taty?

– Tak, będziesz mógł wrócić.

– No, to jasne, że Wam pomogę. Co mam zrobić?

– Twoja głowa otwiera się za pomocą hasła. Tak jak sejf albo zamek. My nie znamy tego hasła i tylko ty możesz nam je zdradzić.

– Ale ja też go nie znam! – krzyknął bezgłośnie chłopiec.

– Właśnie dlatego jest to takie trudne. Ale tylko ty masz szansę je odgadnąć. Musisz rozwiązać zagadkę. Śpiesz się, bo nie mamy zbyt dużo czasu. Powodzenia, Janku.

Twarz zniknęła, a w jej miejsce pojawił się majaczący napis: „TRZECIA NUTA I WIĘKSZA CZĘŚĆ CAŁOŚCI”.

– Że co? – jęknął chłopiec. – To ma być ta zagadka? Nic nie rozumiem, jaka nuta, jaka część całości? Nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi!?

Wydawało się, że zadanie całkowicie przerasta jego możliwości. Na dodatek pod napisem ukazał się zegar odliczający czas. Została już tylko jedna minuta.

Chłopiec zaczął gorączkowo myśleć: Muszę odgadnąć zagadkę! Muszę! Zaraz, zacznijmy od końca – „większa część całości”... ale jakiej całości?! Gdybym wiedział, że chodzi o rower, to byłaby rama, albo gdyby na przykład całością był stół, to byłby blat, ale tu jest tylko „całość” i nic więcej!

45 s – wyświetliło się na suficie.

– A może to nie chodzi o coś konkretnego, tylko o samo słowo? O część wyrazu? No tak! Tak może być, ale co by to miało znaczyć? Zaraz, większa część „całości” to może być „cało” – myśli przelatywały mu w głowie jak błyskawice – ale to jeszcze nic nie jest!

30 s

– Chwila, przecież to dopiero połowa zagadki! Jest jeszcze ta nuta. Trzecia nuta. Jednym skokiem myśli znalazł się na lekcji muzyki. O rany! Jakie to łatwe! Do, re, mi, fa, sol... Chodzi o „mi”! Trzecia nuta to „mi”!

20 s

Teraz „mi” trzeba dodać do reszty i wyjdzie hasło. Szybko! Większa część „całości” to „cało”, dodajemy „mi” i mamy... „całomi”.

15 s

„Całomi”? Co to jest „całomi”? Nie! To nie może być to hasło. Hasło powinno coś znaczyć. Musiałem popełnić jakiś błąd. Może nie „cało”, tylko „łość”? Co wychodzi? – „łości”. Też źle!

10 s

Dasz radę, Janku! Jesteś bardzo blisko! – dobiegł do chłopca jakiś niemy krzyk zza sufitu.

5 s

Chłopiec jeszcze raz błyskawicznie przeczytał zadanie i nagle go olśniło. Ależ tak! Przecież nuta jest najpierw! Do nuty trzeba dodać część całości i utworzyć hasło. Boże! Jakie to proste!

1 s

MIŁOŚĆ! MIŁOŚĆ! MIŁOŚĆ! – krzyczał jak opętany. – Odgadłem hasło! Wracam do rodziców. Wracam... wrac... wra... wr...

W.....



Ilustracja: Artur Barciś *

Cienka fosforyzująca kreska na ekranie monitora płakała swoim jednostajnym dźwiękiem. Na chirurgiczne maski asystentów spływały łzy. Profesor w zielonym lekarskim uniformie powoli zdejmował lateksowe rękawiczki.

– Cóż, czasem jest tak, że bez pomocy pacjenta nie da się usunąć guza mózgu –

powiedział łamiącym się głosem.

Za szybą sali operacyjnej mama Janka, wrywając się z ramion męża, wpatrywała się załzawionymi oczami w martwą, bezduszną linię i waląc pięściami na oślep, wykrzykiwała bezgłośnie swą rozpacz.

– Kocham cię, Janku!!! Kocham cię!!! Kochaaaam!!!!

I stało się coś niezwykłego. Zielona kreska podskoczyła. Najpierw nieśmiało, jakby się zastanawiała, czy ktoś, kogo życie zależy od jej kaprysu, zasłużył na jej dobry humor, albo czy zdał przed nią ten trudny egzamin, ale zaraz potem zaczęła żwawo pulsować jednostajnym rytmem.

Kilka godzin później Janek otworzył oczy. Dookoła łóżka stali uśmiechnięci tata z mamą. Za ich plecami stał Profesor w zielonym czepku. Uśmiechał się. Chłopiec znał ten uśmiech.

– Witaj, Janku – powitała go wzruszona mama. – Będiesz zdrowy. Operacja się udała.

– Wiem. Byłem przy tym – odpowiedział chłopiec, uśmiechając się radośnie.

A potem wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Artur Barciś

Książka dla Anna Gorecka